



ELEONORA KALKOWSKA

---

# Głód życia

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

ELEONORA KALKOWSKA

# *Głód życia*

*Tym, co do życia w namiętnej tęsknocie  
spragnione ręce wyciągają;  
Tym, co w walce przeciw śmierci padają  
w rozpaczonym<sup>1</sup> wysiłku;  
Tym, co choć cząstkę własnego ja przed wielką  
nicością ocalić pragną,  
Drżąc w obłędnym przestרחu przed  
unicestwieniem;  
Tym, którym mara śmierci krew z serca wysysa*

*Tym książkę tę poświęcam.*

---

<sup>1</sup>rozpaczny — dziś popr. forma: rozpaczliwy. [przypis edytorski]

# WSTĘP

Kocham cię, życie...

Wyciągam do ciebie ramiona, a głowę dumnie w górę podnoszę i wołam w tym blasku promiennym:

Kocham cię, życie!

Gdy słońce swój płaszcz promienny rozściela i wielkim blaskiem cały świat ogarnia, a jego złote, wąskie ramiona wkradają się wszędzie i wszędzie, świat otulając tą siecią promienną, wtedy ja stoję na drodze górzystej, zakładam ręce na głowę, a twarz promieniejącą podrzucam do ciebie i wołam, ginąc w tym blasku:

Kocham cię, życie!

Gdy niebo płaszcz szary całe pokrywa, a wicher dzikie swe pieśni śpiewa, dzikie i rozszalałe, i drzewa jęczą, drząc w swych konarach, wtedy ja biegnę hen, hen daleko, gdzieś w góry

wysokie, gdzie słucham hymnu świętego, wielkiego, hymnu nadludzkiej harmonii.

I wtedy staję, twarz wpijam w obłoki, a ręce wyciągam daleko, by odczuć pieśczoć wicheru i burzy.

I suknię rozdieram, by targał me ciało, bym czuła tę wielką melodię, co życie śpiewa, to życie bez kajdan, to wybujałe — co kocham.

Gdy spada deszcz cichy, deszcz głuchy, deszcz smutny, ja siadam na drodze pod drzewem i smutnych deszczu uderzeń słucham — oczy zamykam i głowę opuszczam, a ręką drżącą ziemię głaszczę — tę mokrą, smutną i cichą, a z głębi mej duszy, jak szept się wyrywa, szept smutny, cichy, głęboki — i za to —

Kocham cię, życie!

Przed tobą jedynym w prochu się czołgam, czołem ci biję, o życie, bo blask twój spada i opromienia wszystko, co moje, o życie! Boś ty bez początku, bez miary, bez końca, jedynym stwórcą, jedynym świętym, o życie!

Oczy me błędnie wpatrzone w ciebie, jak dawnych mnichów w swe wizje, bo wierzę w twą siłę, bo wierzę w twą prawdę, o życie!

Czy lekko jak zefir odczuwam twój oddech;  
Czy bijesz mnie burzą i gromem — zawsze cię kocham, schylam swą głowę przed twoim wyrokiem, o życie!

Wyciągam do ciebie częstokroć ramiona i śmieję się głośno do ciebie: weź życie — weź w uścisk ty mnie swój mocny, targaj mnie, bij mnie, rzucaj, o życie, lecz ukaż się w całej swej pełni.

Z twej ręki przyjmuję i gorycz, i bóle, i jeszcze wśród cierpień nadludzkich do ciebie z rozkoszą przez łzy się uśmiecham, a usta męczeńskie szepcą spieczone: chwała ci, chwała ci, życie!

Gdy ziemia się budzi do życia młodego i zieleni nieśmiało wypuszcza, a lekki wiaterek wiosenny się śmieje — wtedy w takt jego, jak dziecko, skaczę i biegam, by on mnie gonił, a ręce me głaszczą wiosenne tchnienie, co całe powie-

trze przepelnia, i usta rozchylam, by w pełni wchłonąć to życie budzące się, twórcze...

A nieraz staję z radosnym uśmiechem, a wzrokiem całuję swą ziemię, i ręce wyciągam, by ją przytulić, przycisnąć ją całą do siebie, a z ust na kształt krzyku mi się wyrywa:

Kocham cię, kocham cię, życie!

Gdy słońce goręcej ogrzewa ziemię i płodzi w namiętym uścisku, wtedy ja padam daleko gdzieś w polach i ręce ukrywam swe w kłosach i głaszczę je cicho, dziękczynnie.

I wielki mnie, cichy spokój ogarnia i patrzę się niemo na niebo, a wkoło mnie szumi hymn życia pełnego, wielkiego, bez kajdan, w swobodzie!

I ziemia zdrowa, płodna i silna w miłości na mnie spoziera i swoje dzieci-trawki wysyła, by mnie głaskały po twarzy, spuszczonej na dół w zadumie...

I wtedy się rzucam na matkę swą ziemię i wpijam swe usta w jej łono, a ona, jak gdyby mnie przyciskała, otacza trawkami, kwiatami, a z głębi mej duszy, jak dzwon się wyrywa:

Kocham cię, kocham cię, życie!

Kocham cię, życie!

Gdy ciche wiatry jesienne wieją, a słońce smutniej spoziera, i liście złote wolno spadają w takt jakiejś cichej symfonii — wtedy łza cicha w me oko się wkrada i w smutnym bezbrzeżnie przeczuciu, oczy utkwivszy gdzieś w przestrzeń daleką, z ust się wyrywa jęk bóleści — smutnej, bezmiernej, żalösnej:

Kocham cię, kocham cię, życie!

Tylko gdy zima mroźna nastaje i ziemia cała umiera, a biały — bieluški płaszcz śniegu przykrywa i pola, i lasy, i góry, jak wielka płachta śmierci płócienna zakrywa ciało zmarłego — wtedy strach wielki mnie całą ogarnia i biegnę, biegnę przed siebie — by dotrzeć gdzieś jeszcze do miejsca, gdzie życie wre swoim tętnem; by ujrzeć, ujrzeć ślad choćby trupa i myśleć o odrodzeniu — lecz wszędzie białość wielka się ciągnie, jak gdyby bez kresu, bez końca...

I wreszcie zmęczona opadam na ziemię, a oczy me w głuchym strachu szukają zieleni, szukają przejawu twego, o życie, o życie!

I ręką drżącą śnieg miękki rozgarniam, by dotrzeć do matki ziemi, by głaskać ją smutną, zimną, umarłą palcami sztywnymi, drżącymi...

I dreszcz mnie wielki, straszny przejmuje, i z piersi się łkanie wyrywa — wróć życie, ja boję się, nie chcę ja śmierci — bo kocham cię, kocham cię, życie!

## ZA PÓŹNO

— Doktorze, powiedz prawdę nareszcie, bo sprzykrzyło mi się widzieć zawsze i wszędzie sztuczny uśmiech na ustach, a przecież wiem — gorzko się uśmiechnęła — że to początek końca albo i może koniec już końca, co, doktorze?

— Ależ, proszę pani, mówię, że jeżeli pani będzie tylko rozsądna i ostrożna, to może pani żyć jeszcze długie lata, ależ przeżyć nas wszystkich! — Widzi pani — wziął krzesło i podsunął się bliżej do chorej — sprawa tak się przed-



stawia: stan pani jest taki, że gdy pani będzie ostrożna, to można jeszcze żyć długo, ale najmniejsza nieostrożność — ja za nic nie ręczę. No, widzi pani, znów pani więcej kaszle, a któż to słyszał na taką pogodę wychodzić, na 15° mrozu; wiatr taki ostry, że ja....

— Ależ, doktorze — wykonała niecierpliwy ruch ręką — tak mi się już sprzykrzyło leżeć i ciągle myśleć o pigułkach, lekarstwach albo — o jeszcze przyjemniejszych rzeczach... Przecież jam<sup>2</sup> młoda, 23 lata, pomyśl, doktorze! Czyż doktor już zapomniał, co to znaczy być młodym i leżeć bez żadnego widoku na polepszenie — zwariować można! A to doktor nawet na taki skromny spacer pozwolić nie chce — kulę w łeb, to jedyne co pozostaje, albo może lepiej kwas pruski<sup>3</sup>, co, doktorze?

— Któż to słyszał o takich rzeczach mówić — rzekł doktor, nachmurzywszy czoło i odsuwając swe krzesło. — Wszystko będzie dobrze,

---

<sup>2</sup>*jam młoda* — skrót od: ja jestem młoda. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*kwas pruski* — potoczna nazwa cyjanowodoru (HCN), bezbarwnej, silnie trującej cieczy o zapachu gorzkich migdałów. [przypis edytorski]

trzeba tylko być rozsądną. Niech pani nie zapomina o pigułkach. Jutro znów przyjdę.

Wstał, aby się pożegnać.

Ona podniosła się trochę na szezlongu<sup>4</sup> i, opierając głowę na rękę, rzekła:

— A zatem, panie doktorze, znów<sup>5</sup> mi pan nic nie powiedział, na kiedy mam obstałować<sup>6</sup> swój pogrzeb, czy zaraz, czy można jeszcze poczekać...

Rozśmiała się nerwowo.

— Och, z tymi doktorami!

Wyciągnęła się na szezlongu i założyła ręce na głowę.

— Więc nic mi pan nie powie?

— Ależ pani!

— No, wiem, już wiem, do widzenia!

Odwróciła się do ściany.

---

<sup>4</sup>*szezlong* — kanapa w kształcie wydłużonego fotela, na której można odpoczywać w pozycji pólężącej. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*znów mi pan nic nie powiedział* — konstrukcja z przestawną końcówką czasownika; inaczej: znów mi pan nic nie powiedziałeś a. znowu mi pan nic nie powiedział. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*obstałować* (daw.) — zamówić, zlecić wykonanie czegoś. [przypis edytorski]

Przez chwilę doktor stał jeszcze na progu, jak gdyby chciał coś powiedzieć, potem z lekka wzruszył ramionami i wyszedł.

Została sama.

Sama w tej atmosferze niewysłowionego smutku, sama ze swymi myślami.

Oczy jej ślizgały się nieświadomie po ścianach pokoju.

Dość duży był to pokój, służący zarazem za mieszkanie i za pracownię.

Dziwnie dobrze, dziwnie ciepło było w nim. Wszystko było indywidualne, cała ta harmonia wytworzona była przez prawdziwie artystyczne poczucie.

Leżała tak nieporuszona przez chwil kilka, jakby skamieniała.

Oczy jej błędnie ścigały promienie słońca, które, przebijając się przez liście drzew, igrały na ścianach. Nagle poruszyła się. Zrobiło jej się zimno. Jedną ręką pociągnęła derkę<sup>7</sup>, drugą sięgnęła zmęczonym kapryśnym ruchem, jaki

---

<sup>7</sup>*derka* — gruby koc. [przypis edytorski]

nieraz mają choroby, po kwiaty, stojące na stoliku, przy szeszlengu.

I szklanym je ogarnęła spojrzeniem, a ręką pieśczośliwie głaskała je.

Po chwili odsunęła róże i zaczęła patrzeć przed siebie i wpatrywać się jakimś martwym wzrokiem we wszystkie przedmioty swego pokoju, który nagle wydał jej się dziwnie obcy.

Czy to ona, ona kiedyś malowała te wonne, życiem tchnące kwiaty?

Czy to ona kiedyś odczuwała w sobie ten ogień płonący, który wyzierał ze wszystkich jej szkiców i obrazów?

Czy to ona, ona?

I nagle uczuła się sama sobie taka obca, taka daleka....

Widziała siebie jako zupełnie inną dziewczynę, z którą ona nie miała nic wspólnego, tylko tyle, że ją rozumiała, odczuwała i niezmiernie kochała. I jakoś jej się tak żal zrobiło tej obcej, ale dobrze znanej dziewczyny, dla której to wszystko spełzło na niczym.

Dziwnie samotnie, obco i strasznie zrobiło jej się na duszy.

Podniosła się trochę, opierając się jedną ręką o poduszkę. Wzrok jej gonił znów po ścianach, jakby tam chciał odszukać coś znajomego, coś bliskiego.

Ale wszystko było zimne, obce.

Od tego wszystkiego wiało, jak gdyby od czegoś umarłego, pochowanego na zawsze.

Założyła ręce za głowę i utkwiała wzrok w jakiś punkt w ścianie.

Leżała tak kilka minut zupełnie spokojnie.

Czuła się tak wyczerpana, tak skrzywdzona, osamotniona, że była gotowa rozplakać się jak małe dziecko.

Było jej czegoś tak tęskno, tęskno...

Nagle nerwowo spuściła nogi na podłogę. Chciała wstać, chciała chodzić, chciała się poruszyć, aby się pozbyć tego spleenu<sup>8</sup>.

Ale nie miała energii.

---

<sup>8</sup>*spleen* (ang.) — nuda i przygnębienie wynikające z poczucia beznadziejności życia. [przypis edytorski]

Usiadła więc znów na dawnym miejscu i ukryła twarz w rękach.

Na podwórzu bawiły się dzieci.

Do jej wysokiego mieszkania dochodził tylko jakiś głuchy szmer i oddzielne, głośniejsze krzyki.

Lubiła bardzo taki oddalony szmer.

Zdawało jej się wtedy, że żyje gdzieś daleko, na jakiejś wyspie albo na obłoku, gdzie jest zawsze tak samotna, ale jednak dość blisko, aby przyjmować udział w ich radościach, ich cierpieniach...

Nagle rozległ się w oddalonej ciszy mieszkania ostry dźwięk dzwonka.

Odjęła ręce od twarzy i machinalnie posuwała się naprzód, by lepiej usłyszeć, kto przyszedł.

Ktoś zapukał.

— Proszę! — odpowiedziała nieco zaintrygowana.

Wszedł jej kolega, młody malarz.

Życie tryskało z niego, z jego oczu, postaci i ruchów, młodością i czarem była owiana cała jego istota.

— Cóż u was słyszeć, jak się macie? — rzekł, witając się z chorą.

Ona siedziała w dawnej pozycji na kanapie i, przechyliwszy głowę w jedną stronę, z dala patrzyła się w niego.

Nagle wybuchnęła nerwowym śmiechem.

— A to wspaniały kontrast teraz: wy i ja! Wy — uosobienie życiowej siły, a ja, ja — suchotnica w ostatnim stadium. Wspaniały kontrast, naprawdę!

On usiadł także i jakimś pół naiwnie dziecięcym, wpół smutnym wzrokiem patrzył się na nią.

— No, co, zgadzacie się ze mną? Byłoby wspaniałe *tableau*<sup>9</sup> z nas obojga w danej chwili. Miałby Wolski, adorator kontrastów, swoją frajdę.

---

<sup>9</sup>*tableau* (fr.) — obraz. [przypis edytorski]

— No, przestańcież<sup>10</sup> nareszcie z tymi żartami — rzekł nieco zakłopotany malarz, przypatrując jej się uporczywie.

— Dobrze, dobrze! Zupełnie na serio wam mówię: macie akurat jeszcze czas obstalować sobie czarne ubranie na mój pogrzeb, przypuszczam bowiem, że go nie posiadacie. Tak, tak, *finis*<sup>11</sup>! Koniec!

— Ależ to nie może być — rzekł, zapalając się, Wolski, czesząc w zakłopotaniu palcami swą bujną czuprynę.

— *C'est fini*<sup>12</sup>! Ale czy wy myślicie, że mnie to cokolwiek obchodzi. Nic a nic — wszystko mi jedno!

— Wszystko mi jedno — powtórzyła jeszcze raz, chcąc siebie samą przekonać...

Słońce zachodziło.

Ostatnie, pełne niewysłowionej melancholii promienie padały na ścianę.

---

<sup>10</sup>*przestańcież* — konstrukcja z partykułą wzmacniającą -że, skróconą do -ż. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*finis* (fr.) — koniec. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*C'est fini* (fr.) — to jest koniec. [przypis edytorski]



— Widzicie — gdybym wiedziała, że, żyjąc, byłabym tak wielka, jak kiedyś marzyłam, kiedyś w akademii, ale tak, podczas choroby, podczas bezsennych nocy — to przychodzą takie straszne, zabójcze zwątpienia! Ja wprost nie mogę myśleć, abym się tym mogła zadowolić, czym się tyłu zadowala — wprost się duszę na samą myśl...

Silny kaszel zmusił ją do przerwania rozmowy.

Po chwili mówiła dalej.

— Widzicie — wydusiła z wysiłkiem — nie wiem, po co wam to mówię, ale tak mi było jakoś źle, nimeście<sup>13</sup> przyszli, że muszę, wprost muszę teraz gadać. — Widzicie, gdy się jest tak samą z tą wielką wiarą w siebie i gdy się cierpi, i jest się chorą, to wprawdzie z początku te gorączkowe pragnienia, te wizje entuzjastyczne stają się częstszymi, piękniejszymi, ale potem pod wpływem analizy to słabnie, pod wpływem choroby człowiek filistrzeje. — Uśmiechnęła

---

<sup>13</sup>*nimeście przyszli* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika, inaczej: nim przyszliście. [przypis edytorski]

się na wpół gorzko, na wpół niedowierzająco. — Słyszysz się ciągle o anormalności takich objawów, coraz częściej zjawiają się czarne chwile i potem już prawie ciągle panuje ta przygnębiająca szarzyzna... Choć nie zawsze, nie — nie!

Wstała, założyła ręce na głowę i gorączkowo zaczęła chodzić po pokoju.

— Nie, nie — nie zawsze! Gdybyście wiedzieli, jaką cudną miałam wizję jeszcze kilka dni temu. — Ha, ha, ha... przynajmniej tym jestem bogatsza od was, bo tę boską niezrównaną chwilę zawdzięczam swojej chorobie. Wyobraźcie sobie, jak się to stało:

Było po południu, koło czwartej godziny. Słońce wpadało do pokoju, a wiecie, jak mnie zawsze rozgorączkowuje to poobiednie słońce; siedziałam tam, na szeszlunku, zamyślona i tępym wzrokiem patrzyłam w przestrzeń.

Widziałam jakieś światło drgające i ten ciemny, ostry cień, padający od tej statui na ścianę.

Nagle stało się coś strasznego...

Oczy jej na wspomnienie tego rozszerzyły się, i nerwowo schwyciła się jego ręki.

— Wyobraźcie sobie, widziałam przed sobą wyraźnie, zupełnie wyraźnie, ot, jak was teraz widzę, dwie męskie postaci walczące ze sobą: pierwszy był młody, cudnie piękny, ale widocznie słabszy, widziałam na jego czole krople potu ze zmęczenia, widziałam kurczowo ściągające się mięśnie jego twarzy. Nad nim klęczał drugi: trzymał tamtego zupełnie spokojnie za ramiona i patrzył w niego — ot patrzcie — tak patrzył, wzrokiem go magnetyzował, łamał siły do walki.

Ha, ha!

Widziałam ich tak przed sobą i wchłaniałam ich widok w siebie, a potem nagle zamknęłam oczy: bałam się tamtego strasznego, bałam się tak bardzo, że jakiś nieznanym niepokój mnie całą ogarnął. Trwało to tak chwil kilka.

Nagle sama nie wiem, jak znalazłam się przed stalugami<sup>14</sup> i chciałam malować, chciałam dać ludziom tę wizję.

Nie, nie ludziom — co mnie ludzie w tej chwili obchodzą, ja sama jeszcze raz chciałam

---

<sup>14</sup>stalugi — dziś popr.: sztalugi. [przypis edytorski]

odżyć w tej wizji, ja sama chciałam wylać to straszne uczucie, co mnie dusi od czasu choroby, ja chciałam wyśpiewać ostatni hymn mego życia. Drżącą w gorączce ręką zaczęłam od postaci tego straszego. Zrobiłam kilka kresek zaledwie i musiałam przerwać.

Nie mogłam, wprost nie mogłam...

Zdawało mi się, że to na mnie kładzie on swoje kościste ręce, że we mnie wpijają się te zimne, obojętne oczy, że mnie zabiją swym chłodnym blaskiem...

Straszny atak kaszlu porwał ją w tej chwili.

— Nie pamiętam nic więcej — mówiła ochrypłym głosem — nic więcej nie czułam. Obudziłam się, gdyż już było zupełnie ciemno.

Dowlokłam się z wielkim trudem do łóżka. Czułam tylko w swej głowie jakiś wielki ciężar i bezgraniczną pustkę zarazem.

Tamto gorączkowe naprężenie siły nerwowej minęło bezpowrotnie.

Ha, ha, ha! Tak skończyło się to moje ostatnie natchnienie, ostatnie... czy wy rozumiecie to, co ja mówię, ostatnie... Tak się skończyło

to, co miało być epilogiem mojej działalności artystycznej, co miało odtworzyć treść mojej sztuki, tej życioradosnej, którą uwielbiałam.

Ha, ha, ha! Ha, ha, ha!

Rzuciła się na kanapę, śmiejąc się spazmatycznie przez kilka chwil. Zdawała się napełniać cały pokój tą straszną rozpaczą, która nią tarzała, zdawało się, że wszystkie jej obrazy przejmują się jakąś grozą i smutkiem bezbrzeżnym, że melodia duszy ich twórczyni nie została wyśpiewana i zniknie z nią bez śladu.

Wreszcie uspokoiła się. Podniosła się na wpół i melancholijnie jęła się wpatrywać w młodego malarza.

— A co wy na to powiecie? — pytała smutnie jak dziecko.

On siedział przed nią, ukrywając twarz w dłoniach.

Ona delikatnie odciągnęła jego rękę.

— Teraz — powtórzyła, patrząc mu w oczy — a wy co powiecie?

On miał dwie duże łzy w oczach, spojrział przez chwilę strasznie boleśnie na nią i znów zakrył twarz.

— Czekaście chwilę — wyszeptał.

Było cicho w pokoju, jakaś dziwnie dobra cisza. Słońce wpadało przez okna i oblewało światłem jego młodzieńczą postać. Wpatrywała się w niego wzrokiem artysty i zachwycała się tą wielką, żywotną siłą i harmonią, która się rysowała w liniach jego postaci.

Naprzeciwko nich stało lustro; przypadkiem wzrok jej padł na nie...

Ale w tej samej chwili, jakby przestraszona, zamknęła oczy... ujrzała obok niego siebie samą.

Nie znosiła tego widoku.

Miała wrażenie, jakby ostrze sztyletu powoli wsuwało się do jej serca.

Nagle on się zerwał.

Chciał coś powiedzieć.

— I to wy, wy, taka wielka, boska, cudna, wy macie... — przerwał nagle, zaczęło go coś dusić w gardle.

Zrobił kilka gwałtownych kroków po pokoju i znów stanął przed nią.

— Nie, nie — to być nie może!..

Boleśnie wykrzywiła usta.

— Słuchajcie, nie, nie, to nieprawda, już ja sprowadzę wszystkich doktorów...

— *C'est fini!* — powiedziała, wpatrując się tępych wzrokiem w ziemię.

On stał przed nią, ze swoją dobrą, zakłopotaną twarzą, wyrażającą wielką bezradność.

— Idźcie — nagle się zerwała — ja muszę być sama — proszę was, idźcie.

Chciał podejść do niej, by się pożegnać, ale nie mógł zwalczyć się, coś go dusiło w gardle.

— Żegnam — wykrztusił i wybiegł z pokoju.

Gdy wyszedł, spojrzała swym dziwnie szklanym wzrokiem na drzwi, które się tylko co za nim zamknęły.

Teraz była sama, sama ze śmiercią.

Widziała z dziwną jasnością, że dzisiaj umrze.

W ostatnich chwilach swego życia chciała być samotna. Ręce założyła na twarz i długo tak siedziała.

Przeżywała swoje życie po raz drugi.

Wszystkie pragnienia, sny malarskie, smutki...

Nagle uczuła, jak się coś zimnego do niej zbliża.

Oderwała rękę od twarzy w wielkim przestachu, z szeroko rozwartymi oczyma obejrzała się wkoło.

Nikogo nie było.

Było cicho, jak przedtem, tylko z podwórza dolatywał szmer bawiących się dzieci.

Ogarnęła ją nagle tęsknota za wiosennym powietrzem.

Wolno podeszła do okna i otworzyła je.

Powietrze, przesiąknięte jakąś dziwnie świeżą, wiosenną, odurzającą wonią, uderzyło pełną falą do pokoju.

Całą pierś wchłaniała to powietrze, drgające życiem.



Zamknęła oczy i przez chwilę czuła się znów młoda i pełna nadziei.

Głosy dziecięce wesoło rozlegały się po podwórzu, tak jakoś radośnie, że na chwilę zapomniała o wszystkim, zapomniała o chorobie, o zbliżającej się śmierci i, wyciągając szeroko ramiona, uśmiechała się słonecznie do światła, do wiosny.

Wzrok jej padł na grupę bawiących się dzieci.

Przyglądała się im z wielkim zajęciem. Bawiły się z ożywieniem, kłóciły między sobą, godziły się znów i to wszystko tchnęło taką radością życia, taką rozkoszą poruszania się, oddychania świeżym powietrzem, taką pewną nadzieją szczęścia i słońca, że przez chwilę dusza jej napełniła się wiosenną rozkoszą lat dziecińczych.

Z uśmiechem na ustach przyglądała się w dalszym ciągu.

Wtem wszystkie dzieci pobiegły w jedną stronę.

Z domu wyszła matka.

Pobiegły na jej spotkanie. Trzymała najmłodsze dziecko na ręku, uśmiechała się do starszych, mając dla każdego kilka słów ciepłych.

Najmłodsze tuliło się do niej śmiało, całą swą drobną twarzyczką i, cieniutki głos wydobywając z piersi, powtarzało bezustannie: „Mamo — mamo!”.

Nagle jakby się coś złamało w kobiecie, stojącej w oknie, tej... umierającej. Jedna rozpaczna gwałtowna tęsknota nigdy nieodczuwana w całej swej sile wyprężyła wszystkie jej mięśnie.

Nieprzytomnym ruchem wyciągnęła ręce szeroko, szeroko...

Wyciągnęła je po raz ostatni do życia.

Jeden wielki okrzyk wyrwał się z jej piersi. „Dziecko!” — krzyknął jakiś zdławiony, rozpaczny głos.

Upadła nieprzytomna.

## ODWIECZNE PRAWO

A ona jego nie kochała...

W tych kilku słowach leżała tragedia jego życia, cała walka ze sobą samym, aby zwyciężyć to uczucie, które stało się dla niego klęską, wszystkie wysiłki daremne, aby obudzić w niej tę iskrę drgającą, która się zwie miłością...

Ale wszystko było na próżno. Darmo błagał ją palącymi oczami, darmo starał się zahipnotyzować ją swym wzrokiem — ona zawsze była ta sama, cicha, spokojna, dobra, łagodna, obojętna...

Pamiętał jeszcze doskonale tę chwilę, w której ją po raz pierwszy ujrzał.

Było to w uniwersytecie<sup>15</sup>, na jakimś wykładzie, sam nie pamiętał na jakim. Było to zimową porą. Dzień był wyjątkowo ciemny, chmurny, bez promyka słońca, zmrok zaczął zapadać i owinał całe audytorium swoją szarą zasłoną. Zapomniano zapalić lampy, cała sala była pogrążona w jakimś tajemniczym cieniu. Dziwnie go usposabiał ten półmrok — gorączko-

---

<sup>15</sup>w uniwersytecie — dziś popr.: na uniwersytecie. [przypis edytorski]

wo a cicho — smutno a niespokojnie. Widział w głębi sali profesora wykonywającego<sup>16</sup> jakieś ruchy, mówiącego coś, co słyszał jakby przez sen. Nagle obejrzał się, sam nie wiedząc dlaczego. I oto spostrzegł ją w cichym półmroku.

Na pierwszy rzut oka nie widział nic, jak tylko parę wielkich, ciemnych oczu, pytających, gorączkowych, utkwionych gdzieś w dal. A od oczu tych rozchodziły się jakby promienie, które otoczyły ją całą, owinęły w jakiś płaszcz, czegoś nieskończenie cudnego, niebywałego...

Nie mógł oderwać wzroku od niej — patrzył, pił ją wzrokiem, wpijał się w nią, aby została jego... Zapalono lampę. I wtedy spotkał się z jej wzrokiem, a wzrok ten stał się w okamgnieniu zdziwiony, dobry, chłodny — musiał się odwrócić. Ale jednak widział ją przed sobą, zasłonił twarz ręką... ale znów stanęła przed nim...

I już nigdy nie miała go opuścić...

---

<sup>16</sup>wykonywającego — dziś popr. forma: wykonującego. [przypis edytorski]

Po wykładzie wyszedł z wolna — nie śmiał śledzić jej kroków.

Była dlań czymś świętym.

I tak spotkali się kilkakrotnie i nic nie mówili ze sobą. Ale dla niego ta chwila, kiedy ją widział, była światłością jego życia, słońcem...

Nie śmiał się zbliżyć do niej...

Kiedyś poszedł na jakieś zebranie kolonii polskiej.

Wszedł i nagle krew wielką falą uderzyła mu do głowy; wszystkie przedmioty i ludzie poczęli wirować przed jego oczyma — złapał się kurczowo za jakieś krzesło, stojące w pobliżu. Opartą o ścianę, rozmawiającą jakimś cudnie melodyjnym głosem — ujrzał ją. O czym mówiła, nie słyszał.

Zdawało mu się, że ta stara, szara sala kąpie się w blasku jakiegoś dziwnie drgającego światła, które rozchodzi się od tych oczu, co lśniły się dziwnie zwodniczo i ciągnęły ku sobie jakimś nieprzepartym urokiem.

Drżącym głosem kazał się jej przedstawić.

Podawała mu rękę, wąską, długą rękę, trochę niechętnym ruchem — i odwróciła się od niego, oddając się znów rozmowie z innymi.

Poznała go.

Widział, jak ledwie dostrzegalny rumieniec powlókł jej delikatną pleć na chwilę...

Starał się wciągnąć ją w rozmowę, żeby słyszeć jej głos zwrócony do niego, żeby go poznała, pokochała...

Bo on ją znał już dobrze.

Była dla niego czymś tak bliskim — czymś jakby od dawna, dawna znanym.

Ale odpowiadała mu krótko, oderwanie.

A on musiał zbliżyć się dziś do niej. Czuł, że nie wytrzyma dłużej z tęsknoty za nią. Wpatrywał się w nią błagalnym wzrokiem, aby się doń odezwała nutą sympatii, dźwięczącej między duszami harmonijnymi, i marzył o tym wszystkim, co jej powie dzisiaj.

I nagle przeszył go dziwny chłód, a oczy nabrały jakiegoś niespokojnego, nerwowego wyrazu... Zaczęła się żegnać z obecnymi, chciała pójść do domu.

Chcieli ją zatrzymać, a on, drżąc mimo woli, z zapartym oddechem śledził każdy jej ruch i nadśluchiwał, co powie.

Ona stanowczo odmawiała.

Teraz uczuł nagle, jak krew uderzyła mu do głowy.

Jak to, tak się miał skończyć ten wieczór, który powinien był ich zbliżyć ku sobie, być pierwszym krokiem ku tej wielkiej jasności, ku temu szczęściu niewysłowionemu?...

Słyszeć ją mówiącą do niego swoim miękkim, słodkim głosem, odkryć jej swą duszę, część choć swej duszy, jeśli całej nie chciała...

Zwróciła się teraz do niego z chłodnym uśmiechem:

— Żegnam pana!...

A wtedy on, jeszcze bardziej się rumieniąc, wykrztusił:

— Nie pozwoliłaby pani się odprowadzić?

Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głowy i z wolna, jeszcze chłodniej, suchym, obojętnym głosem wyrzekła:

— Jeśli panu po drodze, możemy pójść razem.

Spieszył się prędko potwierdzić:

— Ależ owszem, owszem!

Pojęcia nie miał, gdzie mieszkała.

Szły z nimi dwie koleżanki i jeszcze jakiś kolega.

Rozmawiała z nimi, nie zwracając na niego uwagi.

Zimno było.

Szedł cicho ze spuszczoną głową i drżał w oczekiwaniu chwili, gdy ją przestanie widzieć, gdy dojdą do jej mieszkania.

Przechodzili przez wąską uliczkę. Szedł przez chwilę za nią i całował jej wąski, długi cień oczyma.

Był rozgorączkowany. Czuł się dziwnie podniecony; nagle przenikliwy chłód przeszył jego ciało i utkwiał gdzieś w piersi. I teraz dostał jednego ze swoich męczących, szkaradnych ataków kaszlu. Starał się całą energią stłumić go, gdyż bał się, że w jej oczach wyda się śmieszny.



Ale na próżno. Coraz bardziej dusił go stary tyran.

Wreszcie się uspokoił.

Wtedy ona odwróciła się do niego i drgającym od współczucia głosem zapytała:

— Czy panu zimno albo może za prędko idziemy?

A on spojrział na nią wzrokiem tak bezgranicznej wdzięczności za tę uwagę, że musiała pomimo woli spuścić swoje źrenice.

I teraz zaczął rozmawiać.

Mówił jej o swoich zamiarach, o swojej przeszłości, o sobie samym; mówił o rzeczach, o których mógłby z każdym rozmawiać, ale w jego głosie brzmiała nuta tak serdeczna, tak miękka, a tkliwa, że musiała jej mówić, czym ona była dla niego.

Odpowiadała mu krótko, lecz przyjaźnie.

Wspomniał jej o jakiejś książce. Nie знаła jej.

Czy chciała ją poznać? Owszem. Czy może ją jutro przynieść? A kiedy ją może zastać

w domu? Ależ to wszystko jedno, niech zostawi u portiera w razie jej nieobecności.

Podeszli do dużego szarego domu.

— O! Jestem, do widzenia. Dziękuję!

Zadzwoiła. Otworzono drzwi — znikła.

Patrzył jeszcze jak zahipnotyzowany w te drzwi, które się tylko co za nią zamknęły.

— No, chodźmy dalej! — usłyszał jakiś głos.

Trzeba było odprowadzić inne koleżanki.

Szedł jakby we śnie. Widział i czuł ją ciągle obok siebie, a jednak machinalnie rozmawiał z tamtymi.

Ale miał ciągle jakby jej cień obok siebie tak blisko... blisko...

Na drugi dzień poszedł zanieść obiecaną książkę.

Poszedł o pół do siódmej. Wiedział, że o szóstej wraca z uniwersytetu.

Zadzwoił i spytał się o nią.

Usłyszał, że jej jeszcze nie ma. Stał przez chwilę i wahał się, nie wiedząc, co zrobić. Powinien był teraz książkę zostawić, ale nie mógł

się zdecydować. Stał przed portierką, podając jej książkę niepewnym ruchem. Wiedział, że jeśli jej teraz nie zobaczy, zniknie dla niego sposobność zobaczenia jej na długo, może na zawsze, a choćby tylko na pewien czas...

Dusiło go coś w gardle na myśl, że nie ujrzy jej dziś, jutro, przez długie, tęskne dni.

Przez chwilę chciał powiedzieć, że wróci, ale nagle przypomniało mu się, że zbyt jasno zaznaczyła, że nie zależy jej na tym, by on osobiście wręczył jej książkę.

Trzeba było ją zostawić i pójść.

W dziwnie smutnej, głuchej apatii zwrócił swoje kroki ku wyjściu.

W bramie spotkał ją.

Uśmiechnęła się mile i spytała krótko, lecz uprzejmym głosem:

— Książkę mi pan przyniósł? Dziękuję panu.

I chciała odejść.

Ale on spojrzał na nią wzrokiem pełnym wielkiego, tkliwego żalu i prośby.

Nie mogła mu się oprzeć.

— Może pan wstąpi do mnie na chwilę?

On kiwnął tylko głową z wielkiego wzruszenia.

Weszli na wąskie, kręte schody, które się wily jakby bez końca. Szedł o krok za nią. Nie mówiła nic do niego. On wpatrywał się w jej postać, sunącą się przed nim, swymi wielkimi, świecącymi oczyma. I zdawało mu się, jakby tej drodze końca nie było, jakby miał zawsze kroczyć tak za nią w pogoni...

Wreszcie stanęła. Zwróciła się teraz do niego i uśmiechnęła się.

— To tutaj — rzekła.

Weszli. Teraz oddychał jej atmosferą.

Cały pokój był nią napełniony.

Wydawało się, jakby jej wielkie, gorączkowo szukające oczy odbijały się wszędzie, we wszystkim. Linie mebli, kwiaty ułożone w jakiś indywidualny sposób, książki, obrazy — wszystko składało się na jeden cudnie jednolity hymn na cześć swej pani, twórczyni...

Usiedli. On zaczął mówić o tym, co było dla nich najskrytsze — o życiu: o życiu w ob-

jawach sztuki, o życiu oświetlonym przez naukę, o życiu rozwijającym się, promieniejącym, wielkim, wspaniałym.

Ona patrzyła na niego swymi cudnymi, rozumiejącymi oczyma i tylko rzadko, przez jakieś słowa wtrącone dawała mu znak odczuwania harmonii, która między nimi istniała.

Długo tak z sobą rozmawiali.

Pokój, pogrążony w szary półmrok<sup>17</sup>, który owijał ich coraz gęściej, coraz bliżej — wydawał mu się jakimś tajemniczym rajem. I zdawało mu się, że te chwile niewymownej rozkoszy nie mogą przejść jak inne, że są gdzieś daleko, poza okresem czasu<sup>18</sup>.

Tak przechodziły mu w tajemniczym drganiu długie godziny.

Gdy na chwilę przerwał rozmowę, spytała go się nagle głosem dobrym, miękkim, z odzieniem jakiejś macierzyńskiej troski, czy często miewa takie ataki kaszlu.

---

<sup>17</sup>*pogrążony w szary półmrok* — dziś popr. z N.: pogrążony w szarym półmroku. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*poza okresem czasu* — dziś błąd logiczny; popr.: poza czasem. [przypis edytorski]

Była medyczką.

Zerwał się jakby zbudzony ze snu.

Potem odpowiedział głosem nieśmiałym, dziwnie zmieszanym, że już od roku dokucza mu ten kaszel obrzydliwy, denerwujący go do niemożliwości. Ale to przejdzie, z pewnością przejdzie — to czysto nerwowe.

Znów zaczął rozmawiać, a ona słuchała go z dobrym, mądrym wzrokiem.

Było ciemno i pusto na ulicy, gdy wreszcie wyszedł, przestraszony nagle jej zmęczonym wyrazem twarzy. Wiedział, że pracowała bardzo dużo.

Szedł po ulicy jakby we śnie. Nie mógł wrócić do domu.

Czuł potrzebę iść tak przed siebie bez celu w tę ciemną, głuchą noc, wsłuchując się w tę cudną melodię, którą dzisiaj po raz pierwszy usłyszał, melodię harmonijnie zlewających się dusz.

Ona stała się dzisiaj czymś dla niego, co nie było poza nim, czymś, co było w nim — częścią jego samego, częścią nierozzerwalną...

I tak widzieli się kilkakrotnie.

Coraz bardziej rósł płomień w jego duszy, aż stał się jednym wielkim ogniem świętej miłości dla niej.

Coraz ciaśniejsza stawała się sieć uczuć i myśli, które go z nią związywały, coraz bardziej wrastała w niego...

A ona stała wobec tego wielkiego uczucia, które niechcąco<sup>19</sup> zrodziła, z założonymi rękoma i nic zrobić nie mogła.

Z przestraszonymi oczyma śledziła stopniowy wzrost tej wielkiej namiętności — czuła, że powinna coś zrobić, ale nie wiedziała, jak zapobiec temu wielkiemu nieszczęściu, które przeczuwała.

Wiedziała i czuła z rozpaczonym fatalizmem, że jest bezwładna, że to się stać musi.

A w jej duszy była taka tkliwa, bezgraniczna przyjaźń dla niego, takie czyste współczucie i zrozumienie; ale kochać go nie mogła — nie mogła być jego, nigdy, przenigdy.

Wiedziała, że jest suchotnikiem.

---

<sup>19</sup>*niechcąco* — dziś popr.: *niechący*. [przypis edytorski]

Wieczorem kiedyś, gdy ją opuścił, siedziała długo przy biurku z twarzą w rękach ukrytą. Widziała przed sobą jego oczy błagające, pałające uczuciem nieskończonej, bezmiernej miłości, jego usta gorączkowe, drżące i czuła dla niego tak wielką, rzewną litość, że była prawie gotowa oddać mu wszystko.

Ale nagle, jak gdyby ją coś gwałtem odpchnęło od tej myśli, odrzuciła głowę w tył i głośno, z twardym wyrazem twarzy rzekła:

— Nie, nie, nie mogę!

I znów zakryła oczy ręką.

Myślała o nim.

Prześladował ją ciągle jego wzrok, ten wzrok mówiący więcej niż wszystkie słowa o tym, co czuł dla niej, te oczy dziwnie rozpaczliwe, zranione, a jednak błagające ostatnim przeblyskiem nadziei.

Odjęła rękę od twarzy i tępy wzrokiem jęła się wpatrywać w żółty płomień lampy.

Nigdy w rozmowach poufnych nie dawała mu najmniejszego znaku miłości — musiał to czuć, musiał wiedzieć od dawna.



I on wiedział o tym.

Mówiły to jego oczy smutne jakąś bezbrzeżną melancholią, mówiły o całej bezgranicznej, fatalistycznej sile jego miłości.

A ona go nigdy, nigdy nie będzie mogła kochać.

Odpychało ją coś fizycznie od niego.

Było to czymś, co czuła, że nigdy przełamać nie zdoła, i czego hamować nawet nie chciała.

I z całą otwartością uświadomionej kobiety, z całą ścisłością przyrodniczki przyznawała sobie, że był to głos jej młodej krwi.

On był suchotnikiem, dziedzicznym suchotnikiem. Był chory chorobą długotrwałą, rozwijającą się powoli, ale pewnie. Był on dzieckiem degenerującej się rodziny, noszącej zarodek śmierci w sobie.

A ona była młoda, silna, zdrowa, jak myśl życia, która ją nappełniała całą.

Była córką zdrowych przodków bez prze rafinowanych nerwów, ale z tym większym dążeniem do jednolitości, do prostoty, do życia. I cała jej zdrowa natura broniła się przeciw po-

łączeniu z tym chorym potomkiem chorych ojców, broniła się, jak się broni instynkt samozachowawczy przed śmiercią.

Bo ona instynktownie i rozumowo chciała potomków zdrowych, pracujących dla tego życia, które ona uwielbiała, kochała całą swą duszą.

Nagle wstała, energicznym krokiem odsunęła krzesło i twardym głosem, z oczyma utkwionymi gdzieś w dal, rzekła jakby przyrodzie, która w jej osobie sprzeciwiała się temu połączeniu.

— Tak, tak, nie mogę, nie będę jego nigdy, nigdy!

A jednak był on jej pierwszym, jedynym przyjacielem.

Była naturą skrytą w sobie, niezblizającą się łatwo do ludzi.

Była zresztą tak przejęta swymi myślami, dążeniami, że tylko rzadko tęskniła za kimś, kto by ją zrozumiał, odczuł. Ale wtedy tęskniła całą hamowaną tak długo kobiecą potrze-

bą czułości, tęskniła szalenie, bezbrzeżnie, rozpacznie.

Stał się jej przyjacielem. Miała dla niego takie słodkie uczucie, jak nigdy dla nikogo innego, i byłaby się czuła zupełnie szczęśliwa, gdyby nie jego oczy, które mówiły o czymś innym, o czymś, czego mu nigdy, przenigdy dać nie mogła. Było w jej uczuciu coś z siostry i matki w tej wielkiej przyjaznej litości, którą go otuliła, ale właśnie ta sama potrzeba litowania się nad nim przyniosła z sobą zarodek śmierci dla miłości życiodajnej.

Kiedyś, pewnego wieczora, gdy przyszedł do niej, zauważyła, że ma jakieś dziwnie rozpalone oczy i ciemniejsze niż zwykle wypieki na twarzy.

Przestraszyła się i spytała go, czy mu nie gorzej.

On nic nie wiedział o swojej chorobie.

Ale zamiast odpowiedzi uśmiechnął się i szczęśliwym, a zarazem zmieszanym wzrokiem spojrział na nią gorączkowo i czule.

Z przerażeniem spostrzegła, że to dzisiaj wypowie to straszne słowo, które będzie ich musiało rozłączyć na zawsze. Chciała jakoś powstrzymać go od tego, zasuggestionować go<sup>20</sup>, ale czuła, że była bezsilna wobec tej wielkiej namiętności, która się dzisiaj zdecydowała na krok ostateczny, rozpaczliwy, prawie beznadziejny.

I stało się.

Zmrok ich otaczał i wielkie jakieś, tajemnicze drzenie nappełniło pokój.

Podsunał się do niej i chciał mówić, lecz głos uwiązł mu w gardle i nie mógł wykrztusić słowa.

Nagle ukląkł przed nią i poczuła, jak zaczął całować z gorączkową namiętnością, pełną jednak jakiejś wielkiej pokory, jej stopy, suknię, kolana, szepcząc zamierającym głosem:

— Tyś moja, moja złota, jedyna!

---

<sup>20</sup>zasuggestionować kogoś — dziś popr.: zasugerować komuś coś a. poddać kogoś sugestii. [przypis edytorski]

Płakał prawie z wielkiej rozkoszy i żalu zarazem, chciał zaspokoić tę palącą tęsknotę, całując choćby jej suknię, czuć ją tak blisko siebie...

Siedziała skamieniała. Nie była w stanie poruszyć się, wymówić słowa — nie oczekiwała tak gwałtownego wybuchu.

Nareszcie ocknęła się.

— Panie, panie, panie Andrzeju, co pan robisz? Odejdź pan! — krzyknęła i odsunęła się jednym gwałtownym ruchem.

On nagle zbladł, wstał, usiadł, zakrył twarz ręką i zaczął mówić, jakby przez sen:

— Jesteś jedyną kobietą, którą kochałem, jesteś moją królową, jesteś czymś wysokim, promieniejącym, nieskazitelnym, stojącym wysoko ponad ludźmi, ponade mną<sup>21</sup>, ale właśnie dlatego takim pociągającym. Rosłem, będąc z tobą, bo stałem się w twoich promieniach jakby częścią ciebie samej. Jesteś mi wszystkim. Gdzie ciebie nie ma, tam ciemno i zimno; gdzie ty jesteś, tam słońce i jasność wielka. Dusza

---

<sup>21</sup>*ponade mną* — dziś popr.: *nade mną*. [przypis edytorski]

moja bez ciebie nie istnieje, bo została stopiona z twoją duszą w wielkiej harmonii. Będąc sam, tęsknię bez granic za dopełnieniem tej melodii mej duszy, bez której ona dźwięczeć przestaje i zostaje się<sup>22</sup> tylko ciemny chaos.

Zatrzymał się na chwilę, jakby oczekując, żeby coś odpowiedziało, ale w gęstym zmroku widział kontury jej postaci nieruchomej, wkułonej w głąb fotelu. Wielkie jakieś przerażenie wystąpiło na jego twarzy i oczy szeroko rozwarte wlepił w nią.

— A ty? — rzekł teraz cicho złamanym głosem. — A ty? — powtórzył raz jeszcze ciszej, lecz beznadziejnie.

Siedziała nieporuszona.

Teraz nagle gwałtownym ruchem wbił twarz w ręce i wybuchnął jednym strasznym łkaniem, przerywanym od czasu do czasu długim, spazmatycznym śmiechem...

Dreszcz współczucia strasznie bolesnego przejął ją.

---

<sup>22</sup>*zostać się* — dziś popr. czasownik niezwrotny: *zostać*. [przypis edytorski]

Wiedziała, że musi coś powiedzieć, ale bała się — bała strasznie. Zimny pot wystąpił na jej czoło, a ręce kurczowo wpijały się w poręcz krzesła. Wreszcie zaczęła drżącym, przyćmionym głosem:

— Byłeś mi tym, czym nikt dotychczas nie był — byłeś mi przyjacielem.

Przerwała na chwilę, szukając słów.

Ale w tej sekundzie rozległ się w mrocznej ciszy pokoju ostry dźwięk. Zadzwoniał ktoś.

Spojrzał na nią wzrokiem pełnym rozpacz i jakby ukrytej prośby.

Wstała, ale przez chwilę jeszcze wahała się, czy otworzyć. Lecz dzwonek powtórnie został pociągnięty ręką jakby bardzo zniecierpliwioną.

„Może to depesza?” — pomyślała i śpiesznie poszła otworzyć.

Był to jeden z kolegów-Francuzów przynoszący jakieś notatki.

Andrzej zerwał się natychmiast. Nie zniósłby w tej chwili myśli o jakiejś banalnej rozmowie.

Odprowadziła go do drzwi. Spojrzał na nią wzrokiem błagalnym, zranionym.

Powiedziała cicho, strasznie, poważnie:

— Do jutra!

Wyszedł.

Wróciła do pokoju, śmiertelnie blada, chwiejnym krokiem. Nieprzytomnie patrzyła na tego kolebę, trywialnego Francuza, prawie jej nieznanego, który siedział naprzeciwko niej i uśmiechał się kurtuazyjnie. Starał się bawić ją, jak mu się zdawało, najlepiej. Machinalnie mu odpowiadała. W głębi jej duszy został się jeden wielkooki strach, jedna myśl powtarzająca się ciągle, uporczywie — „co robić, co robić?”.

Niezadługo Francuz pożegnał ją, zdziwiony jej roztargnieniem.

Została sama.

Teraz rozpoczęła się dla niej ta straszna, straszna noc. Usiadła przy biurku oszołomiona wielkim strachem przed tym, co będzie.

Oparła głowę o ręce i mózg jej powtarzał machinalnie — „co robić, co robić?”.



Wgrzebywała nerwowo palce w swe gęste włosy w wielkim zakłopotaniu.

Czuła tylko jedno z wielką pewnością, że nigdy, nigdy nie potrafi mu powiedzieć całej prawdy, nagiej, bezwzględnej, że słowa na ustach jej zamrą, gdy będzie miała wymówić, że nie może go kochać, bo musi się nad nim litować! A zarazem coraz głębiej, jakby ostrze sztyletu, wpijało się w jej duszę strasznie bolesne współczucie z jego tragedią.

Nagle wstała i rzuciła się na kanapę. Ukryła twarz w obydwu dłoniach i łkanie wielkie zatrzęsło całym jej ciałem.

Stał się dla niej taki drogi; nie mogła myśleć, że go straci na zawsze. I w wielkim żalu ona, ateistka, ona konsekwentna, silna, zaczęła jęczeć jak małe dziecko.

— Mój Boże! Co począć, co począć?...

Podniosła się i zaczęła cicho płakać. Myślała o wszystkich tych cudnych chwilach, które spędzili razem i które minęły teraz bezpowrotnie.

Oczy jej się nagle rozszerzyły i zimny dreszcz strachu znowu ją przeszył:

— Jak ona mu to powie, jak powie?

Mówił jej, że była mu czymś wielkim, promieniejącym, świętym i w tej wierze leżała właśnie cała wielkość, cała potęga jego miłości.

Uśmiechnęła się przez łzy, przypominając sobie jego słowa.

Nigdy, nigdy jeszcze nie doznała uczucia takiej czci. Znała wielu ludzi, którzy ją lubili, kochali, szanowali, ale nigdy dotychczas nie zaznała tej wielkiej rozkoszy, tej słodczy, którą daje cześć bezwzględna, bezgraniczna.

Zasłoniła oczy ręką i marzyła o tym przez chwilę. Czuła całą rozkosz kobiety, która zdołała wzbudzić uczucie najświętsze, najczulsze, precudne, jak sen...

Nagle zerwała się z szeroko otwartymi oczyma, jak gdyby jakie straszne widmo ujrzała przed sobą.

Okrutna myśl błysnęła w jej umyśle.

Jego miłość wielka, święta, mająca swoje źródło w uwielbieniu, w czci bezgranicznej,

musiała być wyrwana z jego serca przez skalenie samej siebie w jego oczach.

Tępo utkwiała przestraszone oczy w jakiś punkt w przestrzeni, kurczowo trzymając się stołu. Okropna, niemożliwa, nielitościwa wydała jej się ta myśl względem siebie samej. Ona, która z tak cudną rozkoszą marzyła przed chwilą o tym swym obrazie, który on nosił w duszy, on — jedyny człowiek, co ją zrozumiał, w jego oczach miała się skalać, zbrukać?

— Nie, nie, nie mogę! — głośnie wykrzyknęła.

I sama przestraszyła się dźwięku jakby obcego jej głosu, wydającego się dziwnie ostrym wśród nocnej ciszy.

I znów stanęła jej z namacalną wyrazistością przed oczyma scena, w której mu powie, że go nie kocha.

Widziała jego pełne śmiertelnego smutku oczy, pełne czci, ślepego przywiązania na wieki, wieki!

I czuła, że mu nie wystarczy sucha odmowa, czuła, że się będzie domagał od niej od-

powiedzi — dlaczego, dlaczego? Że będzie się czołgał u jej nóg, błagając o słowo nadziei.

A ona go dłużej oszukiwać nie mogła, nie chciała.

Ale jak mu powiedzieć całą prawdę, żeby go zbyt głęboko nie dotknąć, żeby, jeśli to było możliwe, zagoiła się ta rana w jego sercu?

Raptem wstała i twardy wyraz niezłomnego postanowienia odmalował się na jej twarzy.

Wykonała jakiś gwałtowny ruch, jakby chcąc odpędzić myśli sprzeciwiające się jej postanowieniu.

— Muszę to zrobić, muszę — szepnęła.

Chciała się całkiem wyrwać z jego serca, brutalnie, jeśli tak można nazwać, kalając ten obraz czysty, który on nosił w swej duszy.

Wielki heroizm czynu był wypisany na jej czole.

Usiadła przy biurku, napisała kilka słów na karcie, którą zaraz poszła wrzucić do skrzynki.

Zaprosiła tego samego kolegę, co jej przyniósł dziś notatki, na jutrzejszy wieczór.

Przyszedł na drugi dzień zaraz po szóstej. Był to człowiek próżny, mało subtelny, słaby, nieinteligentny, którego oczy paliły się do wszystkich młodych kobiet, a więc i do niej.

Posiadał zatem wszystkie cechy, których dzisiaj wymagała w swym smutnym heroizmie. Wiedziała, że to jedynie potrafi ją wyrwać z jego serca. Ten jej flirt, zwyczajny, trywialny flirt z tym człowiekiem, który niczym dla niej być nie mógł i to wobec jego rozpaczliwej, świętej, zranionej miłości, musiał go przekonać o jej niższości.

A teraz siedziała przy stole z tym drugim, z tym, który miał pomóc jej dzisiaj w akcie zabijającym jej idealny obraz w duszy tamtego.

W nadmiarze bólu, straciwszy swą zwykłą logikę, patrzyła się na tego Francuza z prawdziwą nienawiścią.

Musiała z nim rozmawiać, bo przecież on mógł przyjść zaraz, zaraz.

I rozmawiała, i uśmiechała się, czując zimny pot strachu na czole.

Nagle ktoś zadzwonił.

Przeniknął ją zimny dreszcz. Nie mogła wstać, by otworzyć. Siedziała jak przykuta.

Miała tylko jedno pragnienie w duszy: zamknąć oczy, umrzeć, umrzeć, och, nie być, nie być już.

Jej gość wstał, otworzył drzwi — wszedł on.

Gwałtownym ruchem wstała, wstrząsnęła się i podała mu rękę niezwykle chłodno, podczas gdy drugą kurczowo ścisnęła.

Jego ręka była zimna jak lód.

Nie śmiała podnieść oczu na niego.

Usiedli wszyscy troje.

Teraz spotkała się z jego wzrokiem.

Był to wzrok cierpiącego nieludzkim cierpieniem, wzrok chorego beznadziejnie — wzrok palący się zabójczym ogniem, a tak śmiertelnie smutny, że przez chwilę zdawało się jej, że nie będzie mogła wytrzymać i zaraz zakryje twarz rękami i zacznie płakać, szlochać jak dziecko.

Ale przemogła się.

I teraz zaczęła się ta straszna tragikomedia jej kokieterii wobec tej świętej, wielkiej miłości.

Była w rozpacz. Czuła się sama pobrudzona wzrokiem, którym śmiał patrzeć na nią ten drugi.

Odczuwała całą intuicją kobiety to, co on musiał odczuwać.

A on siedział zupełnie cicho, patrząc na nią wielkimi, wygasłymi oczyma, jak gdyby nie mógł, nie chciał zrozumieć.

A ona w dalszym ciągu z uczuciem, jak gdyby powoli wkładała sobie do serca ostrze sztyletu, uśmiechała się zalotnie, wyzywająco...

On kurczowo ścisnął serwetę w rękę, a zęby wpijały się powoli w dolną wargę.

Nagle wybuchnął głośnym, spazmatycznym śmiechem.

— Co panu, co panu? — spytał się Francuz.

— A — no — nic, śmieję się z tego, co pan opowiada.

Nie było mowy o niczym śmiesznym.

Raptem zerwał się i pobiegł ku wyjściu.  
Spostrzegła dopiero, gdy już stał koło drzwi  
otwartych.

Machinalnie wstała, żeby go zatrzymać. Czu-  
ła, że nie może go teraz wypuścić.

Francuz w drugim kącie oglądał fotografię.  
Poszła kilka kroków naprzód, ale nagle za-  
trzymała się, opamiętała się, że już nic więcej  
zrobić nie może.

Wtedy on jeszcze raz zawrócił i zbliżył się  
do niej blisko, zupełnie blisko.

Usta jego drżały, a oczy miał obłąkanego.

I nachylił się do jej ucha blisko, blisko.

Zamknęła oczy, drżąc z wielkiego strachu.

— Ty, ty... — szepnął.

Przerwał. Głos mu się załamał.

Straszny śmiech czy płacz?

Otworzyła oczy — już go nie było.

Upadła na fotel obezwładniona.

A Francuz zbliżył się do niej, oparł się ręką  
o jej fotel i z cynicznym uśmiechem wyrzekł:



— *Encore un vaincu*<sup>23</sup>!

Nie odpowiedziała nic.

Leżała z zamkniętymi oczyma; siły jej wyczerpały się zupełnie. Tak przeszło chwil kilka.

Nagle uczuła, jak jakieś ręce wsuwały się za nią i jak ktoś objął ją w pól i przycisnął do siebie.

W pierwszej chwili osłupiała zupełnie i nie wykonała najmniejszego ruchu.

Teraz uczuła tuż, tuż nad swymi ustami gorący oddech...

— Precz! — krzyknęła głosem nieswoim i z wyrazem nadludzkiego wstrętu odepchnęła gwałtownie bezczelnego Francuza.

Przestraszył się tego wybuchu, szepnął kilka nieśmiałych słów przeproszenia i wyniósł się.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, wstała i tępych wzrokiem spojrzała na drzwi.

Nagle jakiś dreszcz przebiegł ją.

---

<sup>23</sup>*encore un vaincu* (fr.) — jeszcze jeden pokonany. [przypis edytorski]

Rzuciła się na szezlong i, wpijając się twarzą w poduszki, poczęła szlochać rozpaczliwie, zapamiętała.

I na kształt wielkiego łkania wyrywał się z jej piersi nadludzki ból i wstręt zarazem, który wstrząsał jej delikatną postacią.

Zrozumiała teraz całe okrucieństwo praw przyrody.

## DZIECKO

„Stoi wierzba płacząca<sup>24</sup>

Nad ciemnym jeziorem,  
Drży w promieniach miesiąca,  
Kiedy wietrzyk ją trąca  
Wieczorem”.

— Nie, nie, jeszcze niezupełnie tak — rzekła i podeszła do lustra — może teraz?

„Stoi wierzba płacząca

Nad ciemnym jeziorem,  
Drży w promieniach miesiąca,

---

<sup>24</sup>*Stoi wierzba płacząca* (...) — cytowane fragmenty pochodzą z wiersza Adama Asnyka *Wierzba na pustkowiu*. [przypis edytorski]

Kiedy wietrzyk ją trąca  
Wieczorem”.

— Tak dobrze, ot tak lepiej, tak, tak! „Wko-  
ło piaski wilgotne...”. — Przechadzała się po  
pokoju.

„Wkoło piaski wilgotne,  
Rdzawe mchy i zioła,  
Wody mętne i błotne  
I pustkowie samotne  
Dokoła.  
Chociaż cisza panuje...”

— Mamo, mamó! — rozległ się nagle głos  
dzieciący w przyległym pokoju.

— Czego chcesz, nie przeszkadzaj! — od-  
rzekła głosem nieco zirytowanym.

— Ależ mamó, kiedy ja naprawdę nie wy-  
trzymam...

— No dobrze, dobrze, już idę — westchnę-  
ła lekko i wyszła do przyległego pokoju.

Tam na kanapie leżała dziewięcioletnia dziewczynka, blada i szczupła — uśmiechająca się nieśmiało.

— Ja mamusię bardzo przepraszam, ale kiedy mnie tak strasznie boli ot tu — wzięła rękę matki i przyłożyła ją do swej piersi — że naprawdę wytrzymać nie mogę. Niech mi mamusia da kropli uspokajających, dobrze mamusiu?

— Biedactwo moje małe — nachyliła się nad dzieckiem i pocałowała je w czoło — zaraz dam, zaraz przejdzie wszystko. Jutro pójdiesz na spacer ze mną, prawda Halinko?

Dziewczynka podniosła rękę matki do ust i pocałowała ją cicho.

— Mamusiu moja — wyszeptała czule.

Nagle opuściła rękę i schwyciła się za piersi.

— Oj, oj, oj!

Matka się zerwała.

— Zaraz, zaraz, złoto moje, przejdzie, przejdzie.

Pośpiesznym krokiem przyniosła kropli uspokajających i podała je dziecku.

Ono wypięło i wolnym ruchem opuściło się znów na kanapę.

— Och, jakam<sup>25</sup> zmęczona — rzekła z bladym uśmiechem.

— Ale lepiej ci złotko, prawda, że lepiej? — niespokojnie spytała matka.

— Troszeczkę! — Uśmiechnęła się do niej i rzekła — Niech się mamusia nie boi.

— Może zaśniesz na chwilę, kochanie moje. — Głaskała dziecię po twarzy. — Dobrze, maleństwo?

A dziewczynka spojrzała na nią wielkimi oczyma i rzekła z uśmiechem, w którym był odcień melancholijnej goryczy:

— Dobrze, dobrze, mamusiu, zasnę. Niech mamusia idzie tylko uczyć się swej roli, bo ja chcę, żeby jutro w *Lenie*<sup>26</sup> moja mamusia — uśmiechnęła się dumnie — bardzo, bardzo się podobała.

---

<sup>25</sup>*jakam* — skrót od: jaka jestem. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*Lena* — dramat Wacława Karczewskiego wydany w 1886 pod pseudonimem *Marian Jasieńczyk*. [przypis edytorski]

Lekki uśmiech przesunął się po twarzy matki; jakby od niechcienia pogłaskała płową główkę dziecka.

Wstała, nachyliła się jeszcze raz nad dzieckiem i wyszła, zamknawszy drzwi za sobą.

A mała spojrzała na drzwi, przez które matka tylko co wyszła, potem utkwiała smutny wzrok w ścianę i dwie ciche, wielkie łzy spłynęły po jej policzkach.

W przyległym pokoju podeszła do stołu i wzięła się na nowo do studiowania roli.

— A gdzie stanęłam? To tu.

„Kiedy cisza panuje  
Grobowa i głucha...”

Nagle opuściła kajet i podeszła do drzwi.

— Czy ona też naprawdę śpi?...

Nadśłuchiwała przez chwilę, ale było zupełnie cicho.

— Więc jeszcze raz:

„Kiedy cisza panuje  
Grobowa i głucha,  
Coś ją zgrozą przejmuje,

Bo się w niebo wpatruje  
I słucha”.

Nagle znów opuściła kajet.

— Nie, ja na serio powinnam pójść do mego maleństwa.

Podeszła do drzwi, lecz znów się zatrzymała.

— Kiedy ja nie mogę — powiedziała głośno, jakby usprawiedliwiając się sama przed sobą — przecież muszę jutro dobrze grać — muszę!

Podeszła do okna i poczęła myśleć o jutrzejszym występie.

Miał to być jej pierwszy występ na scenie większego teatru.

Była dotychczas artystką prowincjonalną, ale pewnego dnia zwróciła na siebie, przez wielką szczerść swej gry, uwagę znanego dyrektora, który jej obiecał debiut w *Lenie*, a jeżeli się będzie podobała krytyce i publiczności, to miał zaangażować ją na stałe.

Stoi ona teraz przy oknie i marzy.

Tak, tak, będzie ona grała jutro całą duszą, całym swym uczuciem i zrozumieniem, stanie się inkarnacją<sup>27</sup> tej Leny, o tak! Będzie musiała się podobać i wtedy — droga do sławy będzie dla niej otwarta. Ale nie sława nęci ją przede wszystkim. O nie! Dadzą jej teraz role wspaniałe, wielkie, które będzie mogła przeżywać i w które będzie mogła swą bogatą indywidualność przelać. O, jakie szczęście!

Szeroko rozciągnęła ręce, oczy zabłyśły rozkoszą nadziei.

— Więc trzeba się uczyć!

Westchnęła z lekka, wzięła znów kajet do ręki i usiadła, ale po chwili położyła rolę i oparła rękę o stół.

— I 2400 rubli, i to na początek — pomyślała. — Nie będzie już biedy nigdy, będzie mogła sprowadzać doktorów dla Halinki, może będzie mogła pojechać z nią do jakiejś kąpielowej miejscowości, gdzie ją wyleczą z tej sercowej choroby.

Westchnęła głęboko.

---

<sup>27</sup>*inkarnacja* — wcielenie. [przypis edytorski]



— Żeby nie ta choroba, nie ta choroba!  
— I smutek powlókł jej twarz. — Ale doktor przecież jeszcze dawał nadzieję...

Nagle się zerwała.

— Nie, teraz naprawdę muszę... — wyszeptwała energicznie.

I zaczęła studiować. Studiowała z całym zajęciem, z całą energią, niektóre miejsca powtarzała po kilka razy, stawiała przed lustrem, aby krytykować swoje pozy, i znów siadała i zatapiała się w czytaniu. Coraz głębiej nachylała swą rozgorączkowaną twarz nad cienkim zeszytem, bo zmrok coraz bardziej gęstniejący zalewał pokój. Wreszcie musiała przerwać. Zauważyła dopiero teraz, że się ściemniło.

Obudziła się jakby ze snu, potem wstała i rozkosznie przeciągnęła się.

— Będzie, będzie dobrze — wyszepnęła i, triumfująco uśmiechając się, dodała — Zobaczycie, zobaczycie!

I nagle przesunął jej się przed oczyma obraz chorego dziecka. Wstała szybko i lekkim krokiem weszła do przyległego pokoju.

— Halinko nie śpisz?

— Nie, mamusiu.

Dziewczynka odwróciła się do niej i wyciągnęła rękę.

— A spałaś, złotko moje?

— Nie, mamusiu — słuchałam, jak mamusia to ładnie mówi: „stoi wierzba płacząca”, o tak ładnie! Och! Jak ja bym jutro chciała być na przedstawieniu. Prawda, mamusiu, że mamusia mnie jutro zabierze? Będę siedziała cicho, cichuteńko i będę słuchała, a jak potem ludzie będą klaskali, będą wywoływali moją mamusię — ożywiona nieco tą myślą, podniosła się trochę na kanapie — o jak się wtedy cieszyć będę, jak ja się cieszyć będę!

— Złotko ty moje kochane, córeczko ty moja. — Nachyliła się nad dziewczynką i przytuliła ją do siebie. — Żebyś ty mi tylko zdrowa była, maleństwo ty moje drogie. — I jęła ją pieścić i całować.

Chore dziecko nagle namiętnie zarzuciło ręce na szyję matki i z piersi jego wyrwało się, jakby od dawna hamowane, szlochanie:

— Mamusiu kochana — mamusiu ty moja!...

Przez cały wieczór została już przy chorej dziewczynce; była pewna, że wieczór jutrzejszy przejdzie tak, jak ona marzyła kiedyś w latach pierwszej młodości; była przekonana, że będzie dla niej pełny głębokiego artystycznego zadowolenia i jaśniejący pierwszymi promieniami wschodzącego słońca sławy...

Na drugi dzień z rana musiała jeszcze pójść na próbę ostateczną.

Wróciła zmęczona i zdenerwowana.

Jej partner — Janek — w niektórych scenach był tak drewniany i sztywny, że psuł jej najcudniejsze chwile. Bała się, że ją dziś wieczorem wyprowadzi z nastroju, że przestanie prawdziwie odczuwać, przeżywać swą rolę, a bę-

dzie musiała ją grać, posługując się tylko wszelkimi efektami sztuki aktorskiej.

Halinka przez cały dzień była bardzo milcząca i wyczerpana. Nie mówiła matce nic o strasznym ataku bólu, który miała podczas jej nieobecności.

Obiad zjadły w milczeniu.

Była strasznie zdenerwowana i niespokojna. Chwilami jakiś strach ją chwycił. Zdawało jej się, że dziś wieczorem słowa nie wykrztusi. Potem obejmował ją znów gorączkowy zapal.

Pod wieczór, tak o piątej, nerwowa febra zaczęła nią trząść.

— Halinko, Halinko! Ja się strasznie boję!

Jak małe dziecko, zaczęła się skarżyć przed swoją własną córeczką.

A Halinka uspokajała ją słodko i czule, dzieciennie, a jednak rozsądnie.

O godzinie szóstej miano przyjść po garderobę.

O pół do siódmej miała być w teatrze.

Już na godzinę przedtem chodziła nerwowym krokiem po pokoju, nie będąc w stanie usiedzieć spokojnie.

Halinka leżała na kanapie i rozmyślała nad dzisiejszym wieczorem. Była strasznie dumna ze swej matki i najgłębiej przekonana, że będzie się podobała. Cieszyła się ogromnie na myśl o dzisiejszym przedstawieniu.

Dawniej na prowincji siadywała zawsze w garderobie matki i z zapartym oddechem, z gorączkowo rozwartymi oczyma, śledziła stamtąd akcję sztuki.

Była dzisiaj trochę zdrowsza, więc matka obiecała zabrać ją do teatru.

Przyszli ludzie po kosz z garderobą.

Zaczęły się ubierać.

Halinka poszła do przedpokoju po palto, a matka stała przed lustrem i kładła kapelusz. Uśmiechała się nerwowo sama do siebie, ręce miała zimne jak lód i półświadomie powtarzała: „Stoi wierzba płacząca nad ciemnym jeziorem...”.

Nagle cichy jęk rozległ się w przedpokoju.

Była tak zaabsorbowana swymi myślami, że w pierwszej chwili nie zwróciła uwagi i mówiła dalej: „Drży w promieniach miesiąca — kiedy wietrzyk ją trąca...”.

Głośniejszy jęk z przedpokoju wyrwał ją z zamyślenia.

— Halinko, Halinko, co tobie?! — krzyknęła głosem niespokojnym i pobiegła do przedpokoju.

Na podłodze leżało dziecko zemdlące, z wykrzywioną od bólu twarzą.

— Marysiu! — krzyknęła, otwierając drzwi do kuchni. — Wody, wody! Halinka zemdlą! — A sama, wylawszy na dziecko trochę wody z karafki, którą chwyciła w przyległym pokoju, rzuciła się na nie i zapamiętała zaczęła całować i nawoływać do życia, nazywając je najśłodszymi imionami.

Powoli Halinka powracała do życia. Rozwarła szeroko oczy i jakimś dziwnie obcym, nieprzytomnym wzrokiem jęła się przypatrywać matce. Potem znów zamknęła oczy i chwyciła matkę za rękę.

— Mamusiu, nie odchodź, nie odchodź —  
wykrzyknęła przestraszonym głosem.

Matka zaniosiła ją na kanapę, a dziecko wciąż kurczowo trzymało jej rękę i przyciskało ją do siebie.

Leżała na kanapie. Ostatnie promienie słońca oświetlały jej biedną, bladą twarzyczkę.

Teraz dopiero matka zauważyła, że Halinka ma twarzyczkę prawdziwej małej męczennicy: oczy wpadłe<sup>28</sup>, usta boleśnie skrzywione, a na czole wypisana linia jakiejś bolesnej, wielkiej rezygnacji.

I straszny żal i ból gwałtowny ogarnął jej serce, a łzy cisnęły się do oczu.

Schyliła się nad dzieckiem i z wielką macierzyńską miłością zaczęła je całować po rękach i twarzy.

A dziewczynka nagle otworzyła szeroko oczy i spytała cichym, smutnym głosem:

— A mamusia bardzo by płakała, gdybym ja tak... umarła...

Ostatnie słowa wymówiła zupełnie cicho.

---

<sup>28</sup>*wpadłe (oczy)* — dziś popr.: *zapadłe (oczy)*. [przypis edytorski]

— Co ty mówisz, co ty mówisz! — krzyknęła matka i ze strasznym płaczem rzuciła się na dziecko, namiętnie przyciskając je do siebie.

— Halinko ty moja, ty dziecko moje! — I wybuchnęła przeciągłym szlochaniem.

A dziecko cicho głaskało matkę po głowie i słodko, spokojnie pocieszało ją:

— No nie, nie, już nie! Ja przepraszam, przecież ja tylko tak mówiłam. Już mi dobrze. Niech mamusia nie płacze, to głupstwo. Już mi lepiej, to przejdzie. Prawda, to przejdzie?

— Ale tobie nigdy nie wolno już tak mówić — szlochała matka i nagle, zerwawszy się i wzięwszy Halinkę za rękę — Nigdy, rozumiesz, nie wolno ci — ty moje jedyne! — gwałtownie dodała.

Pieściła ją i głaskała, uspokajając się powoli.

Nagle się zerwała: stary zegar ścienny wybił sześć razy.

Przed przestraszonymi oczyma jej stanął teatr, stanęła scena.

Dziecko zrozumiało to nagłe zerwanie się matki.



Spojrzało ono teraz na nią wzrokiem pełnym niemego wyrzutu, a jednak usta wyrzekły automatycznie:

— Niech mamusia idzie, ja się zostanę<sup>29</sup>.

Ze smutnym zmęczeniem zamknęła oczy.

Matka stała niezdecydowana.

Nie pójść teraz do teatru — to ruina, to klęska, wprost nieszczęście. Nikt już teraz za nią roli objąć nie może, innej sztuki wystawić niepodobna, bo jest za późno. Byłaby to straszna strata dla dyrektora, który by naturalnie natychmiast zerwał z nią.

— O, o, o!

Usłyszała nagle głos dziecka z kanapy.

Dziewczynka podniosła się na wpół i duże, przestraszone jej oczy w gęstym mroku pokoju szukały matki.

— O, o! Ja się boję! — jęknęła teraz, wyciągając ręce do niej. — Mamo, mammo, nie opuszczaj mnie — ja się boję.

---

<sup>29</sup>*zostać się* — dziś popr. czasownik niezwrotny: *zostać*. [przypis edytorski]

— Uspokój się, złoto moje, zawołam doktora, żeby dał maleństwu memu jakiegoś lekarstwa — rzekła, głaszcząc dziecko po twarzy.

Wyszła na chwilę i posłała służącą po doktora, mieszkającego w tym samym domu.

Przyszedł natychmiast i z bardzo poważną miną zbadał dziecko.

Potem wyprowadził matkę do drugiego pokoju.

— Trzeba bardzo ostrożnie się obchodzić z tą dziewczynką — rzekł szeptem prawie — bardzo ostrożnie, bo może być źle.

— Panie doktorze, przecież niebezpieczeństwa nie ma? — spytała drżącym głosem, niespokojnie wpatrując się w niego.

— Na razie nie. Niech pani daje jej krople, które zapisałem i niech dziecko zachowuje absolutny spokój, najważniejsze zaś jest, żeby nie było takiego ataku, bo w takim razie za nic nie ręcę. Jutro rano znów przyjdę.

Chciał już wyjść, gdy przypomniał jej się dzisiejszy debiut w *Lenie*.

— Panie doktorze, proszę pana na chwilę.

Wrócił do niej.

— Jestem artystką i właśnie dzisiaj mam debiut, od którego wszystko zależy, cała moja przyszłość. Co ja mam robić? Czy można dziecko zostawić? — spytała niespokojnym głosem.

Doktor nachmurzył czoło i milczał przez chwilę. Wreszcie z wolna powiedział:

— Jeżeli dziewczynka panią chętnie puści, to owszem, jeżeli nie, to stanowczo nie radzę, bo to wzruszenie mogłoby się bardzo, bardzo źle odbić na jej zdrowiu. Niech pani się dobrze zastanowi. — I wyszedł.

A ona weszła znów do pokoju, w którym leżało chore dziecko i chciała spytać się nieśmiałym głosem, czy może je opuścić, ale Halinka wyciągnęła ręce do matki i ze łzami w oczach, błagającym tonem rzekła:

— Mamusia już mnie dzisiaj nie opuści — prawda mamusiu?

Energicznym ruchem nachyliła się nad dzieckiem, pocałowała je mocno w czoło i podeszła do biurka.

Tu cicho, ale głęboko westchnęła.

Wzięła kartkę papieru, na której napisała, że wobec niebezpiecznego stanu córki w żaden sposób w dzisiejszym przedstawieniu nie może brać udziału.

List przez służącą zaraz posłała do teatru.

Wróciła do pokoju, w którym leżała Halinka. Przyjęła ją takim promiennym uśmiechem, że uczucie macierzyńskie wzięło w niej górę.

Pocałowała dziecko cicho w czoło; jakiś chwilowy, wielki spokój ogarnął ją.

— Ja teraz trochę spać będę — dobrze mamusi?

Trzymając matkę za rękę, zamknęła oczy i ze spokojnym uśmiechem na ustach zasnęła.

Matka siedziała przy niej.

I teraz znów chaos przeróżnych myśli zaczął mącić tę wielką, błogą ciszę.

Widziała przed sobą scenę, na której miała dziś wystąpić, słyszała siebie samą grającą, po-

tem nagle jakieś oklaski. Zamknęła oczy i przez chwilę oddała się tym obrazom.

Nagle drgnęła i z przestraszonym wzrokiem jej oczy wpiły się w czarną przestrzeń pokoju.

Usłyszała znów głos doktora: „jeżeli taki atak się powtórzy, to ja za nic nie ręczę”.

Śmierć!

Długi, chłodny dreszcz z wolna prześlizgnął się po jej całym ciele, przenikał ją coraz głębiej.

— Nie, nie, to nie może być! — rzekła prawie głośno, ściskając kurczowo rękę.

Wydało jej się czymś tak nienaturalnym, żeby jej dziecko miało umrzeć, tak nieprawdopodobnym, że nagle się uśmiechnęła.

— Ależ to głupstwo, to on tylko straszy — szepnęła z widoczną ulgą.

Nagle usłyszała, jak ktoś drzwi otwierał.

Była to służąca powracająca z teatru.

— Proszę pani — zawołała dziewczyna cała zasapana we drzwiach pokoju.

— Cyt! — rzekła matka i weszła do przedpokoju, aby dziecka nie obudzić.

— Proszę pani — ten pan dyrektor, to strasznie fuknął, jakem<sup>30</sup> mu list oddała i powiedział: „Powiedz ty twojej pani, że to zupełnie niemożliwe, że musi grać, słyszysz — musi grać” — krzyknął mi nad uchem i uderzył pięścią w stół — „mnie tam żadne kaprysy bachorów nie obchodzą. Powiedz ty twej pani, że ja zaraz przyjdę do niej i z nią się rozmówię” — tak, proszę pani, powiedział.

Wróciła do pokoju i stanęła przy oknie — bała się strasznie tego, co miało nastąpić. Znała dyrektora jako człowieka bardzo gwałtownego. Najchętniej byłaby zamknęła drzwi na klucz, by go nie wpuścić. Trzęsła się na myśl, jak Halina zniesie tę scenę.

Długo tak stała, machinalnie wpatrując się w niepewne światło latarni ulicznej. Ciągłe jej się zdawało, że idzie ktoś po schodach. Nagle drgnęła.

Dzwonek!

---

<sup>30</sup>*jakem mu list oddała* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: jak mu list oddałam, tj.: kiedy oddałam mu list. [przypis edytorski]

Zimny pot wystąpił jej na czoło. Już służąca poszła otworzyć.

Przez chwilę stała jeszcze przy oknie. Wreszcie energicznie poruszyła głowę i spokojnym krokiem poszła do przedpokoju. Była zdecydowana nie ustąpić. Stała we drzwiach przedpokoju.

Dyrektor już zdejmował palto.

— Dzień dobry pani! — głos jego był ogromnie zdenerwowany. — To ładnie takiego strachu nam narobić. Co, chyba pani żartowała, chyba pani żartowała, powtarzam. Bo to jest absolutnie niemożliwe. W ogóle mowy o tym być nie może, żeby pani dziś nie wystąpiła. Przyszedłem tylko, aby się pani pośpieszyła. Mamy pół do siódmej. O pół do ósmej się zaczyna — więc najwyższy czas, co?

— Panie dyrektorze. — Wstała i oparła się obiema rękoma o stół. — Panie dyrektorze — rzekła stanowczym, sztucznie spokojnym głosem — jestem zupełnie zdecydowana dzisiaj nie występować.

— Cooo? — parsknął nerwowym śmiechem. — Za przeproszeniem, czy pani zwariowała? Czy pani wie, jakie to straty pociąga za sobą? Czy pani wie, że to są straty, których dla pani dziecka ponieść nie mam zamiaru i wątpię, czy pani będzie mogła zwrócić mi te pieniądze?

Szyderczo się rozśmiał.

— Czy pani wie, co to dla pani znaczy? To znaczy utrata sławy na zawsze! Jeżeli pani mi urządzi taką awanturę, to pani w żadnym dużym teatrze nie zaangażują. Więc teraz — z naciskiem wymawiał każde słowo — albo natychmiast pani pójdzie ze mną, albo na zawsze utraci karierę, sposobność lepszego życia i — znów się szyderczo uśmiechnął — zwróci mi pieniądze, które ja przez panią stracę. Jeżeli zaś pani dziś wystąpi, to, mając talent, tak, stanowczy talent, może się pani wybić, stać się



drugą Modrzejewską<sup>31</sup>. Dziś ostatnią ma pani sposobność.

— Panie dyrektorze — wyrzekła, wstając i zbliżając się do niego — panie dyrektorze — powtórzyła błagającym głosem — ja nie mogę, ja na serio nie mogę; dziecko bardzo chore — niech pan mnie nie męczy.

Łzy wystąpiły jej z oczu.

— Dobrze — rzekł krótko i zdecydowanie dyrektor. — Daję pani trzy minuty do namysłu — i tu wyciągnął zegarek — po upływie tych trzech minut pani będzie łaskawa — szyderczo się uśmiechnął — odpowiedzieć mi, czy raczy dzisiaj zagrać Lenę, ku swemu i memu dobru, czy sentymenta<sup>32</sup> czułe wezmą górę, a wtedy zobaczymy, jak sąd rozstrzygnie naszą sprawę. Co?

---

<sup>31</sup>*Modrzejewska, Helena* (1840–1909) — wybitna polska aktorka, specjalizująca się w rolach szekspirowskich i tragicznych. W 1876 roku wyemigrowała do Kalifornii wraz z mężem oraz przyjaciółmi, m.in. z Henrykiem Sienkiewiczem, i osiedliła się z nimi w miejscowości Anaheim w Kalifornii. Z czasem grupa osadników rozstała się, zaś Modrzejewska po kilku latach nauki języka zadebiutowała w 1877 w California Theatre w San Francisco jako Helena Modjeska, zyskując ogromne uznanie i rozgłos. Występowała następnie na scenach Ameryki i Anglii. W 1883 przyjęła obywatelstwo amerykańskie. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>*sentymanta* — dziś popr. forma: sentymenty. [przypis edytorski]

— Mamo, mamo! — rozległ się w tej chwili przestraszony głos dziecka z przyległego pokoju.

Ona stała nieporuszona.

A dyrektor podszedł do drzwi, stanął na progu pokoju, podparł się pod boki i z nachmurzonym czołem fuknął:

— Cicho być! Jak to można tak mamie przeszkadzać.

Matka stała ciągle zamyślona.

Widziała przed oczyma cudne obrazy przyszłości — drugą Modrzejewską — powiedział dyrektor. O! Rozkwitnąć w całej pełni swego talentu, w słońcu sławy i to dzisiaj, dzisiaj! Czuje ona, jak krew w niej wre; jak by ona mogła grać, żyć na scenie życiem tej kobiety, którą wcielała, wylać z siebie ten nawał uczuć. Nagle odczuwa taką gwałtowną potrzebę sceny, tej atmosfery, do której przywykła od najmłodszych lat, że jej się zdaje, iż się zadusi tu, w ciasnym mieszkaniu, przy cichym, chorym dziecku. I czuje z wielką jasnością, że jeżeli dzisiaj nie pójdzie, to się zamknie dla niej cała przy-

szłość sceniczna, zamknie się na zawsze. A to dla niej jest życiem!...

Nagle drgnęła.

A dziecko, dziecko chore niebezpiecznie?

I rozpoczęła się straszna walka matki z kobietą rwącą się do życia, swobody.

Podeszła automatycznie do drzwi przyległego pokoju.

— Halino — rzekła nieswoim głosem.

— Co, mammo?

— Nic.

Nie ma odwagi odpowiedzieć.

— Mammo, podejdź tu do mnie bliżej!

Głos pełen wyrozumiałości, a jednak ten smutny odcień goryczy.

— Mama teraz nie wie, czy pójść tam czy się zostać tu przy mnie, prawda, tak jest? A ja mamie powiadam — tu dziecko zerwało się energicznym ruchem — ja mamie powiadam, że mama pójdzie! Słyszysz mama? Ja nie chcę przeszkadzać — powtórzyło.

— Ależ kochanie, dziecko moje, ja się boję opuścić ciebie, gdybyś ty mogła razem...

— Ja? — Tu dziecko gorzko się uśmiechnęło. — Widać mama się nawet nie domyśla, jakam<sup>33</sup> słaba.

Matka nachyliła się nad nią i z wzrokiem pełnym nagle wielkiej troski spytała:

— No co ci, co ci, powiedz dziecko? Przecież nic złego, powiedz!

— Nic, nic, tylko idź! Jeżeli mnie kochasz, to idź. Słyszysz? Ja chcę, żebyś poszła. Ja nie przeszkadzam, ja nie przeszkadzam!

— Trzy minuty minęły — rzekł dyrektor, podchodząc do nich — jakież postanowienie?

— Panie dyrektorze, niech pan zabiera mamę, bo mama się jakoś waha teraz, a ja chcę, ja chcę, żeby mama poszła.

— A to zuch dziewczyna! Widzisz dziecko, matka twoja — to wielka artystka, zobaczysz...

— Nie zobaczę — westchnęło dziecko niedosłyszalnie i znów opadło na kanapę.

Ona się nagle zerwała.

---

<sup>33</sup>*jakam słaba* — skrót od: jaka jestem słaba. [przypis edytorski]

— Idę, dyrektorze — rzekła drżącym ze wzruszenia głosem o wzroku rozgorączkowanym. — Będę grała, och, tak bosko grała...

Ale znów się zwróciła do Halinki.

— A ty złotko moje, ty?...

— Mnie nic — wymuszony uśmiech przesunął się po twarzy dziewczynki. — Niech mamusia tylko idzie; jutro mi wszystko opowie. — I ledwie dosłyszalnym głosem dodała — Ja nie przeszkadzam.

A gdy wchodowe<sup>34</sup> drzwi zamknęły się za matką i dyrektorem i wkoło niej zapanowała głucha cisza, wtedy zarzuciła rączki na twarz i wybuchła głośnym płaczem.

W teatrze straszny zgiełk. Wszyscy zaniepokojeni ciąglą jeszcze nieobecnością bohaterki. Reżyser chodzi po scenie jak dziki zwierz po klatce. Koledzy opóźnienie się „Leny” delikatnymi swymi komentarzami obdarzają.

— A, a, nareszcie!

---

<sup>34</sup>wchodowe (drzwi) — dziś popr.: wejściowe (drzwi). [przypis edytorski]

Wchodzi ona z dyrektorem. Zewsząd ją otaczają, machinalnie, naprędce odpowiada, uśmiecha się, na lewo i na prawo uściski rąk...

Nareszcie jest w garderobie.

W pół godziny sama nie wie, jak jest ubrana i uczesana.

Stoi za płóciennymi drzwiami kulisy i wy-  
czekuje z głośno bijącym sercem znaku.

Coraz mocniej zaciska ręce, coraz bardziej zęby jej wpijają się w dolną wargę, a oczy szeroko rozwarte wlepia w ścianę sceniczną przed sobą — jeden wielki strach zapanował nad jej duszą.

Dziś się rozstrzygnie, dziś się rozstrzygnie.

Coraz bardziej się zbliża chwila jej występu.

Teraz zaraz, zaraz...

Inspicjent<sup>35</sup> daje znak.

Wchodzi machinalnie, nieprzytomnie...

W pierwszej chwili jest tak oszołomiona, że widzi przed sobą tylko jedną wielką przepaść

---

<sup>35</sup>*inspicjent* — pracownik teatru odpowiedzialny za organizacyjną oraz techniczną stronę spektaklu. [przypis edytorski]

czarną, a nad tą przepaścią rząd jakichś jaskrawych świateł.

Odrętwienie takie trwa jeden moment za ledwie. Potem jakby prąd elektryczny przeszywa całe jej ciało.

„Do dzieła!” — woła coś w niej i na oślep rzuca się w wir falujących uczuć swej bohaterki.

Gra, gra całą duszą, z całym zrozumieniem. Oklaski entuzjastyczne.

Wychodzi oszołomiona z głową spuszczoną.

Kilka słów powinszowań; sama nie wie od kogo odebranych — i znów się znajduje w swojej garderobie.

Ze wzrokiem rozgorączkowanym staje przed lustrem, pudruje się, przypatruje się sobie na pół nieprzytomnie i machinalnie uśmiecha się na komplementy garderobianej pomagającej jej przebierać się.

Ma w swojej duszy jakąś cudną, daleką melodię i jakby przez jakąś mglistą zasłonę widzi i słyszy świat ją otaczający...

Akt drugi przechodzi tak jak pierwszy.

Zaczyna się akt trzeci.

Gra ciągle cudnie, zapomniawszy o dziecku, zapomniawszy o całym świecie.

— „Stoi wierzba płacząca  
Nad ciemnym jeziorem,  
Drży w promieniach miesiąca,  
Kiedy wietrzyk ją trąca  
Wieczorem.

Wkoło piaski wilgotne,  
Rdzawe mchy i zioła,  
Wody mętne i błotne  
I pustkowie samotne  
Dokoła.

Chociaż cisza panuje...”

Tu nagle staje wizja przed jej oczami.

W tym miejscu wczoraj po obiedzie prze-  
rwała jej Halinka i teraz widzi ona ze straszną  
wyrazistością tę dziewczynkę bladą, cierpiącą,  
samotną, bojącą się, w zimnym, samotnym po-  
koju... Oczy utkwiała w matkę i mówi tak swym  
cichym, cierpiącym, pełnym wyrzutu, głosem:



„Czemuś mnie opuściła, czemuś mnie opuściła?”.

A ona stoi na scenie, nie może się otrząsnąć z tej wizji.

Błada cała powtarza automatycznie: „Kiedy cisza panuje...” i dalej mówić nie może.

Stoi jak odrętwiała.

Sufler myśląc, że zapomniała, podpowiada kilka razy coraz głośniej:

— „Kiedy cisza panuje grobowa i głucha...”.

Nagle przypomina jej się, gdzie jest.

Otrząsa się jednym, energicznym, lecz ledwie dostrzegalnym ruchem. Gra w dalszym ciągu.

Przechodzi czwarty i piąty akt.

Scenę obłąkania gra tak naturalistycznie, tak wstrząsająco tragicznie, że cała sala tchnie atmosferą bezbrzeżnego smutku i żalu. Hipnotyzuje ludzi prawdą swej gry, a gdy mówi: „czemuż ona wzdycha?”, a potem wybucha nagłym spazmatycznym płaczem, wydaje się, jak gdyby sala cała zadrgała z wielkiej rozpacz.

Kurtyna opada powoli.

Wśród publiczności cicho, cicho zupełnie.

Ona stoi za zasłoną nieprzytomna, a gdy potem nagle podnoszą się oklaski entuzjastyczne, grzmiące — ona ciągle stoi jeszcze nieruchoma. Gdy znowu kurtynę podnoszą i ona widzi się wobec jakiegoś morza falującego tej publiczności rozgorączkowanej — ciągle nie zmienia swojej postawy i stoi niema i smutna.

Z wolna dopiero wraca jej przytomność.

Teraz czuje ona po raz pierwszy rozkosz oklasków, rozkosz zachwytu i pije z namiętym pragnieniem te krzyki radosne, ten entuzjazm rozpalony tłumu.

Stoi, kłania się, uśmiecha się, rzucają jej kwiaty pod nogi. Słyszy swoje nazwisko na setkach ust...

Nareszcie ucisza się.

Wychodzi do garderoby. Po drodze spotyka dyrektora, który wyciąga do niej obie ręce.

— Pani, pani, jak pani cudnie grała! Angażuję panią natychmiast. Musi mi pani co dzień grać. Druga Modrzejewska — powiadam, druga Modrzejewska!

Kilku krytyków chce się jej przedstawić. Rozmawia kilka słów z nimi, uśmiecha się na powinszowania, pochwały zapalne...

Wreszcie znajduje się w garderobie.

Prędko, gorączkowo się rozbiera.

Nagle ogarnia ją straszne zmęczenie. Sieda na chwilę na kanapie i zakrywa twarz ręką. Przeżywa jeszcze raz dzisiejszy wieczór. Czuje się jeszcze raz Leną, wszystkie nerwy w niej drgają, krew wzburzona szybciej obiega, słyszy jakiś dziwny szum w uszach, a nagle wyraźnie: „druga Modrzejewska, druga Modrzejewska” i oklaski frenetyczne<sup>36</sup>. Od razu jej się cudnie lekko robi na duszy. Staje i zaczyna lekkim krokiem przechadzać się po pokoju.

Otwarta teraz przed nią droga do szczęścia i sławy, do pewnego artystycznego zadowolenia. Tak, tak, teraz będzie grała jeszcze kilka razy Lenę, potem dadzą jej Norę<sup>37</sup>, Magdę, Heddę Gabler<sup>38</sup>...

---

<sup>36</sup>frenetyczny (z fr.) — gwałtowny, żywiołowy. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>Nora a. *Dom lalki* — dramat Henrika Ibsena z 1879 r. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>*Hedda Gabler* — dramat Henrika Ibsena napisany w roku 1890. [przypis edytorski]

Z radosnym, głośnym śmiechem zarzuca ręce za głowę i rozkosznie przeciąga się na samą myśl o studiowaniu tych ról.

O! Teraz będzie mogła grać ciągle, ciągle, co dzień, jak dyrektor powiedział...

Nagle opuszcza ręce i staje.

— A dziecko, a Halina?!

I znów ją ogarnia niepokój macierzyński. Co Halinka robiła przez cały długi wieczór? Czy jej czasem nie gorzej? I w gorączkowym pośpiechu zaczyna się ubierać.

Już stoi przed lustrem, by włożyć kapelusz, ale nagle opada jej ręka i tęnym wzrokiem patrzy przed siebie.

Jakaś straszna niechęć wrócenia do tego smutnego domu ogarnęła ją.

I znów siada na kanapie i, przytuliwszy się do poręczy, zakrywa twarz ręką.

Jeszcze trochę, jeszcze chwil kilka myśleć tylko o sobie, o swej przyszłości, zapominając o wszystkim smutnym!

Jak ona się teraz rozwinie, pokaże im wszystkim, co ona może! Oho! Zobaczą oni!

Taki wielki przypyływ sił czuje w sobie. Jak ona teraz pracować będzie, studiować, grać!

Nagle się zrywa.

Ujrzała, jakby w halucynacji, twarz dziecka swego pełną niewysłowionego żalu i smutku...

Prędko się ubiera i wychodzi na ulicę.

Czeka na nią jeszcze garstka entuzjastycznej młodzieży, przyjmująca ją okrzykami.

Kłania się na prawo i na lewo, uśmiecha się jeszcze raz i, aby się od nich uwolnić, siada czym prędzej w dorożkę przejeżdżającą i wraca do domu.

Podjeżdżając, wychyla głowę z dorożki i niepokojnym wzrokiem szuka swoich okien.

Wszędzie ciemno, pewnie Halinka już śpi.

Wchodzi cicho na schody, ostrożnie wkłada klucz w zamek i na palcach wsuwa się do mieszkania.

Cicho — nikt się nie rusza. Zdaje jej się, jak gdyby martwa cisza panowała wszędzie.

Ostrożnie podchodzi do sypialnego pokoju i zapala małą nocną lampeczkę, aby dziecka nie obudzić.

Podchodzi do kanapy, na której sypia dziewczynka.

Halinka leży nierozebrana i szeroko rozwartymi oczyma wpatruje się w matkę.

Oczy te mają dziwnie szklany, osłupiały wyraz.

Jakiś zimny dreszcz ją przejmuje.

— Halinko, nie śpisz? Czemu nic nie mówisz?

Ona ciągle cicho patrzy na matkę i nic nie odpowiada.

— Halinko, czemu nic nie mówisz? — mówi teraz matka i dalej, chcąc pokonać swój strach. — Przecież muszę tobie opowiedzieć, jak było. Powiadam ci, cudnie!

Dyrektor nazwał mnie drugą Modrzejewską, jutro przyśle kontrakt do podpisania...

— Halinko, zobaczysz, jak teraz cudnie pójdzie! Ale co tobie jest dziecko, czy ty słuchasz?

— Tak — odparła dziewczynka suchym, sennym tonem.

I wtedy dopiero matka spostrzegła, że była ona bardziej blada niż zwykle i oczy miała głębiej podkrążone.

— Co tobie jest, złotko moje, czy znów boli? Dam ci kropli, biedactwo moje. — I zaniepokojona nachyliła się nad czołem dziewczynki.

A ta szeroko otwartymi oczami spojrzała na matkę i lekko ją odsunęła.

— Nic mi nie jest, niczego mi nie potrzeba.

Matka podeszła do stołu, wzięła stojące na nim uspokajające krople i dała je dziewczynce.

Spostrzegła, że butelka była prawie pusta. Halinka musiała podczas nieobecności matki dużo wypotrzebować<sup>39</sup>.

Milcząc poszły obie spać.

Chciała ucałować i popieścić swe dziecko, ale ono chłodno przyjmowało jej pieśczoty. Była bardzo zaniepokojona tym dziwnym milczeniem; siedziała długo i patrzyła na dziew-

---

<sup>39</sup>wypotrzebować — inaczej: zużyć na swoje potrzeby. [przypis edytorski]

czynkę. Przeczuwała, że podczas jej nieobecności dziecko bardziej cierpieć musiało.

Westchnęła głęboko, pocałowała dziecko w czoło i odeszła.

Gdy już leżała w łóżku, w ciemnym pokoju, zaczęła smutno rozmyślać o Halinie, o tym, co doktor dzisiaj powiedział: „jeszcze jeden taki atak, a ja za nic nie ręczę”.

Zimny pot oblał jej czoło.

Podniosła się nagle na wpół na łóżku — nie, nie, to być nie może, nie, nie wierzyła. To niemożliwe, niemożliwe! I chciała znów myśleć o dzisiejszym wieczorze triumfu.

Ale nie mogła. Jakiś głuchy strach dusił ją w gardle i nie dawał jej spokoju; ciągle musiała myśleć o chorym dziecku i słowach doktora: — „jeszcze jeden taki atak, a ja za nic nie ręczę”.

Położyła się i znów starała się zasnąć: „Druga Modrzejewska, druga Modrzejewska”, słyszała jakiś oddalony głos — „za nic nie ręczę, za nic nie ręczę”, mówił głos jakiś zupełnie blisko jej ucha.



I nagle uczuła żal do swego dziecka, że zepsuło jej radość pierwszego triumfu... Wielkie łzy napęłniły jej oczy.

Jutro będzie znów grała i odbierała oklaski — „ja za nic nie ręczę, za nic nie ręczę” — powtarzał głos.

Nie chciała słuchać. Będzie grywała co dzień, co dzień, musi, chce.

„Ja za nic nie ręczę” — ciągle powtarzał głos.

Nagle zerwała się i usiadła na łóżku.

„Jak to tak można mamie przeszkadzać” — usłyszała zupełnie wyraźnie chrapliwy głos dyrektora. — „Jakaś ty wstrętna, jakaś wstrętna” — powiedziała do siebie cicho — „nie, właśnie, że nie” — i nagle cichy, cichy głosik — „a gdybym ja tak umarła, czyby mama bardzo płakała?”

Zimny pot oblał ją całą, rzuciła się na poduszkę z szeroko rozwartymi oczyma i zaczęła się trząść.

— Co ja pomyślałam, co ja pomyślałam?!

„A jednak, gdyby nie żyła, nie mogłaby przeszkadzać” — mówił jakiś głuchy głos — nie,

nie, nie — zatykała sobie uszy, jak gdyby te głosy przychodziły z zewnątrz, i całą twarz ukryła w poduszkę, żeby się zagłuszyć — nie nie, nie — i ciężko zaczęła jęczeć: — o-o-o!

— Mamusiu, mamusia nie śpi? — usłyszała głos cichy i miękki dziecka, zerwała się natychmiast i pobiegła do niego.

— Ty moje jedyne kochanie, ty moje! — Jęła płakać, szlochać rozpacznie, obejmując dziecko i tuląc je do siebie, przez długi, długi czas...

Na drugi dzień wstała dość późno, czuła się złamana i strasznie zgnębiona.

W nocy, gdy odeszła od Halinki, długo jeszcze rozpaczliwie płakała, tłumiąc łzy w poduszkach.

A jednak dziś znowu Leną była na afiszu i miała, i musiała grać.

Przez cały dzień siedziała przy Halince i pielęgnowała ją.

Dziecko było dzisiaj bardzo niespokojne i osłabione.

Nadszedł wieczór.

Stała przed lustrem, nakładała kapelusz.

— Mamusiu, mamusia znów idzie? — Dziewczynka westchnęła głęboko.

Podeszła do Halinki i głaskała ją czule po czole.

— Och, żeby się tak mamusia została, mnie tak źle bez mamusi...

— No, złotko, jutro znów cały dzień będę z tobą razem, a teraz będziesz dobra i grzecznie zaśniesz, prawda, kochanie?

— Kiedy ja nie mogę bez mamusi — żalawionym głosem rzekła Halinka.

Matka głaskała ją ciągle po czole, lecz podczas gdy palce pieściły twarz dziecka, słyszała znów ze straszną wyrazistością:

— Jak to tak można mamie przeszkadzać! Prędko pocałowała dziecko w czoło i wybiegła.

Strasznie ją głowa bolała i straszna rozpacz dusiła.

— Czemu ja o tym myślę, czemu o tym myślę, jak ja mogę coś podobnego myśleć, że

ona mi przeszkadza, że byłabym wolniejsza, gdyby... nie, nie, nieprawda!! Czemu ja o tym myślę, przecież ja ją kocham. — I machinalnie stanęła i jęła się przypatrywać rzeczom w oknie wystawionym. — Przecież ja ją kocham, przecież ja ją tak szalenie kocham! Ty dziecko, ty moje jedyne, kochane! — Nagle uczuła wielki przyływ czułości. — Ty, moje najdroższe, ty, moje jedyne kochanie — mówiła półszepem i łzy wstąpiły jej do oczu.

Uczuła nagle wielką tęsknotę za dzieckiem, chciała mieć je przy sobie i gorzkimi łzami swymi przeprosić za straszny grzech, który w myślach swoich przeciwko niemu spełniła.

— A patrz, patrz, to Lena wczorajsza — usłyszała nagle głosy jakieś blisko siebie.

Mimo woli obróciła się.

— Widzisz, widzisz, stanowczo ona. — Już przeszedłszy, kilka jeszcze razy oglądali się.

Machinalnie skierowała kroki w stronę teatru.

Gdy po przedstawieniu, na którym była przyjęta z jeszcze większym entuzjazmem, wróciła do domu, Halinka jeszcze nie spała.

Usiadła przy dziecku i jęła rozmawiać z nim, ale Halinka była bardzo zmęczona.

Dzisiaj już w jej zachowaniu nie było tej bolesnej goryczy, ale była wypisana na jej czole jakaś rezygnacja głęboka, która dziwnie postarzała tę dziecinną twarzyczkę.

— Mamusiu, ja zasnę teraz, jestem taka zmęczona! — I z głębokim westchnieniem odwróciła się do ściany.

A ona długo jeszcze siedziała i patrzyła na bladą twarzyczkę dziewczynki... Straszny jakiś ból chwycił ją za serce, uczuła nagle wyraźnie, że już niedługo będzie oglądała tę słodką twarz, że już niedługo będzie obejmowała te szczupłe rączki...

— Halinko! — zawołała, nachyliwszy się nad dzieckiem. — Halinko, ty dziecko ty moje! — Łzy grały w jej głosie, wzięła przezroczyście rączki dziecka i pokrywała je pocałunkami.

Dziewczynka zwróciła się cała do niej i utkwiliła w nią szeroko otwarte oczy.

W tych oczach ze straszną wyrazistością czytała pytanie groźne, pełne zwątpienia:

„A gdybym ja umarła, czyby mamusia bardzo płakała?”

Nie mogła znieść tego wzroku.

Nachyliła się nad dziewczynką, ukryła twarz na jej piersi. Ta zaczęła ją głaskać po włosach i bezbrzeżnie smutny uśmiech wystąpił na jej twarzy.

— Tak, tak, mamusiu moja — powtarzała kilkakrotnie monotonnym, strasznie smutnym głosem — tak, tak...

Na drugi dzień stało się...

Siedziała w sali i przeglądała nową rolę, którą jej dzisiaj wręczył dyrektor: była to Nora.

Znała ją od dawna i już kiedyś na prowincji marzyła o odtworzeniu tej wielkiej postaci kobiecej, a teraz miała ją przed sobą, miała ją przeżyć, odtworzyć.

Doszła akurat do aktu trzeciego, przełomowego, sceny z Robertem.

Widziała siebie w tej scenie, słuchającą z szeroko otwartymi oczyma, jak gdyby patrzyła w jakąś przepaść bezdenną, strasznych słów Roberta.

Nagle — „Mamo, mammo! O, o, o!” — usłyszała głos pełen straszego bólu, potem głuchy łoskot jakby czegoś ciężkiego padającego na ziemię. Potem cisza zupełna.

Zerwała się i drżąca cała, oblana zimnym potem, podeszła do drzwi.

Nagle stanęła — nie miała odwagi wejść, strasznie się bała czegoś okropnego.

Coś dusić ją zaczęło, chwyciła się za krzesło, żeby nie upaść i kurczowo wpijała się jej ręka w miękką poręcz... Wreszcie oprzytomniała, ręka powoli opuściła krzesło i automatycznie, z szeroko otwartymi oczami, zacisnąwszy ręce w pięść, posunęła się w stronę dziecka.

Na podłodze leżała Halinka bez życia.

— Halo<sup>40</sup> — rzekła głosem drżącym, nie śmiając zbliżyć się — Halo!...

Żadnej odpowiedzi.

— Halo! — powtórzyła nieswoim głosem, dusząc się ze strachu.

Ciągle cicho...

Podeszła o krok bliżej.

— Odpowiadaj, Halinko! — rzekła głuchym głosem.

Dziecko ciągle leżało nieruchomie<sup>41</sup>.

Ona stoi i patrzy, i nie wie, co robić; chwyciła się za krzesło i stoi nieruchoma.

Nagle opuszcza poręcz i rzuca się gwałtownym ruchem na ciało dziecka.

— Halino — krzyczy strasznym głosem.  
— Halino!

Drżąca cała przykłada ucho do serca... Nagle podnosi głowę i ciężko znów opada.

Serce dziecka bije słabo, słabo, ale bije...

Przez chwilę leży tak nieruchoma, tak strasznie wyczerpały ją ostatnie chwile...

---

<sup>40</sup>*Halo* — tu: zdrobnienie od imienia Halina (forma w W.). [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*nieruchomie* — dziś popr.: nieruchomo. [przypis edytorski]



Potem nagle się zrywa i zaczyna dziecko cucić wszelkimi sposobami.

Powoli, powoli, wraca ono do życia...

Doktora, po którego natychmiast posłano, nie zastano w domu; przyszedł dopiero wieczorem, auskultował<sup>42</sup> dziecko i zrobił bardzo poważną minę.

Ona stała przy nim i badawczym, niespokojnym wzrokiem śledziła każdy ruch jego, każde zmarszczenie brwi. Zdawało jej się, że to badanie trwa wieki całe.

Nareszcie skończył i zmierzał ku wyjściu.

Poszła za nim.

Cicho, ale wyraźnie, strasznie wyraźnie, wyrzekł: „Dziecko ma się bardzo źle, bardzo źle”.

Spojrzała na niego bezbrzeżnie niespokojnie.

— Muszę pani prawdę powiedzieć, nadzieja jest bardzo, bardzo mała.

— Doktorze — przerwała mu, chwytając go za ręce; głos jej się załamał.

---

<sup>42</sup>auskultować (med.) — osłuchiwać narządy wewnętrzne. [przypis edytorski]

— Powtarzam, że prawie nie ma nadziei: jest to bardzo rozwinięta wada serca.

— Ależ panie, to być nie może, przecież muszą być jakieś środki lecznicze, musi być ratunek na to. — I patrzyła na niego błagającym wzrokiem.

— Jedynym, co przedstawia jeszcze małą nadzieję, byłby wyjazd do Nauheim<sup>43</sup> — rzekł doktor wolno. — Tak, to mogłoby może pomóc, choćby na lat kilka.

Chwytając się tej nadziei, powtórzyła drżącym z radości głosem:

— Do Nauheim, pan mówi, że to pomoże, to jedziemy, naturalnie, jedziemy!

Na drugi dzień z rana była u dyrektora.

Krótko i stanowczo powiedziała mu, że chodzi tu o życie dziecka i że musi wyjechać.

Dyrektor z początku irytował się w straszny sposób: wymyślał jej od przeczulonych nerwów, dziecinnych kaprysów itd., ale wreszcie widząc, że wobec stanowczego postanowienia nic zrobić nie może, musiał ją zwolnić.

---

<sup>43</sup>*Nauheim* — miasto uzdrowiskowe w Niemczech. [przypis edytorski]

— Ale ja pani powiadam, że to wina tylko kaprysu, jeżeli pani się nie wybije... Ja pani dobrze życzę i pani nie chce.

— Ależ panie dyrektorze!

— No, już dobrze, dobrze! — Odwrócił się obrażony i zaczął palcami bębnić po stole. — Mówię pani, że grzechem jest to, co pani robi, ale dosyć! Sama sobie pani szkodzi.

Odeszła z małym wynagrodzeniem za dwa wieczory występu.

Po dwóch dniach opuściły L.

Droga do dworca przechodziła obok teatru.

Przez dwa dni prawie nie pomyślała o nim, będąc ciągle zajęta troską o coraz słabsze i wyczerpane dziecko.

Teraz przejeżdża koło gmachu teatru i nagle zdaje jej się, że musi wyskoczyć, zostawić wszystko i wtargnąć do tego domu, który stał się dla niej najdroższym, w duszy ręce wyciąga do niego i całuje ściany oczami.

Przejeżdża koło miejsca, gdzie afisze rozwieszają — patrzy: *Lena*.

A tam, gdzie jej nazwisko było, znajduje się teraz inne, obce...

Uczuła nagle straszną nienawiść do tej obcej kobiety, która jej miejsce zajęła i straszny, straszny ból.

Minęły już gmach teatralny, z głębokim westchnieniem wsunęła się w głąb dorożki.

Spotkała wzrok Haliny... Wtedy dziecko zamknęło oczy i przez boleśnie skrzywione usta wyrzekło niedosłyszalnie: „Już niedługo!”.

Na kolei, gdy pociąg ruszył, uczuła znów nagłą chęć wyskoczenia, wyciągnęła ręce do tego miasta, co miało ją obdarzyć szczęściem, a które teraz opuścić musiała.

Gorące łzy cisnęły jej się do oczu, odwróciła się i weszła w głąb przedziału, żeby się nie rozplakać.

Na widok dziecka uczuła jakiś dziwny cień zmęczenia i nienawiści prawie, i jakiś głos głucho się odzywał: „Jak to tak można mamie przeszkadzać?”.

— Mamusiu, boli! — rzekła cicho dziecina.

Pobiegła do niej i jęła ją pieścić i całować, czuła wstręt do samej siebie za niegodziwe myśli.

Przez całą drogę czyniła sobie straszne wyrzuty, czuła jakiś niesmak do siebie i smutek wielki, a zarazem niechęć do życia; sama wydawała się sobie wstrętna i nadawała sobie najgorsze nazwy, nienawidziła się wprost.

Dla Halinki była idealnie dobra i cierpliwa. Przebyły kilka spokojnych i słodkich tygodni w Nauheim.

Oddała się cała pielęgnowaniu i kuracji dziecka i myśli tamte coraz rzadziej ją męczyły.

Halinka się widocznie poprawiła, czuła się lepiej i była weselsza — ataki ani razu się nie powtórzyły.

Doktor zrobił nadzieję, że może żyć jeszcze długie lata. Cieszyła się całą pełnią macierzyńskiej miłości z tego polepszenia i miłość jej dla dziecka swego stała się jeszcze tkliwsza, pełniejsza.

Pierwszego poobiedzia, gdy wyszły na spacer, wstąpiły do kurhauzu<sup>44</sup>. Halinka przypatrywała się grającym dzieciom, matka czytała kurier.

Jak dawniej, szukała przede wszystkim rubryki z teatru.

Była dziś krytyka o *Norze* wystawionej w ostatnich czasach.

Zaczęła czytać z wielkim zajęciem i, w miarę wczytywania się w szczegóły ról, rosła w niej jakaś gorączka, która wzmagala cię coraz bardziej. Przeżywała teraz w duszy wszystkie te sceny, w których miała brać udział, w których miała żyć. Straszna tęsknota za teatrem ją ogarnęła. W namiętym pragnieniu wyciągała w myśli ręce do niego...

„Żałujemy tylko — kończył krytyk — że nasza znakomita artystka NN (czytała swoje nazwisko) wskutek choroby swej córeczki, opuszczając nas, nie mogła odtworzyć tej roli. Wtedy dopiero l...ska publiczność byłaby poznała

---

<sup>44</sup>*kurhauz* (z niem.) — dom uzdrowiskowy. [przypis edytorski]

i rozumiała całą głębię tego genialnego utworu”.

Opuściła kurier.

Wzrok jej spotkał się ze wzrokiem Halinki.

— Czy mamusia co ciekawego znalazła, że mamusia z takim zajęciem czytała? — spytała Halinka.

— Nie, nie, nie — odrzekła, gorączkowo wstając — chodźmy, chodźmy...

— Mamusiu, niedobrze mi — rzekła dziewczynka w domu, opadając na kanapę.

Nie zaraz odpowiedziała.

Myślała o *Norze* i o słowach krytyka: „gdyby pani NN była odtworzyła rolę Nory, publiczność byłaby rozumiała całą głębię genialnego utworu”.

I nagle usłyszała wyraźnie, zupełnie wyraźnie, głos dyrektora żegnającego się z nią: „to grzech, co pani robi, powiadam pani — grzech!”.

Tak, to grzech, to grzech, powtarzała sobie, ja mam prawo rozwijać się, ja powinnam rozwijać się swobodnie, a to grzech, to grzech...

Zupełnie zapomniała o skardze córki.

A kto temu winien, że nie jesteś wolna? — pytało się coś w niej.

Dziecko! — odpowiedział jakiś głuchy głos. — Mamo, mamó, boli! — powtórzyła w tej chwili dziewczeczka.

Otrząsnęła się i podeszła do niej...

Przez całą noc męczyły ją znów stare rozmyślenia, stara walka, stare wyrzuty...

Na drugi dzień wstała w strasznej apatii. Już nie była nawet w stanie gryźć się starymi myślami.

Wielka martwota ogarnęła ją całą.

Halinka miała się znów gorzej.

Pielęgnowała ją z całym ogromem macierzyńskiej miłości, z całą niezmierną tkliwością, chcąc choć w części powetować swą winę.

Ale dziecko do zdrowia nie wracało.

Doktor odchodził z coraz poważniejszą miną.

Kiedyś dłużej niż zwykle auskultował dziecko, potem smutnie pokiwał głową.



Odprowadziła go do przedpokoju.

— Panie — rzekła drżącym głosem — co pan myśli o Halince?

— Nie mogę przed panią ukrywać — rzekł ze smutnym spojrzeniem — życie dziecka musimy liczyć na tygodnie, jeżeli nie na dni.

— Ależ panie! — krzyknęła. — Przecież pan sam mówił jeszcze dwa dni temu, że może żyć długie lata.

Wzruszył ramionami.

— Omyliłem się, pani. Zresztą w tych chorobach nic pewnego powiedzieć nie można, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa...

Pożegnał się i wyszedł.

Cała drżąca wróciła do Halinki.

Jęła ją głaskać po twarzy, pieścić, całować namiętnie, rozpacznie...

Przez kilka dni stan zdrowia Halinki się nie zmienił.

Nagle nastąpiło jak gdyby polepszenie.

Mogła wstać i chodzić, była weselsza, zdawało się, że życie wraca.

I doktor był zadowolony.

Przeszło znów kilka cudnych, spokojnych dni. Nadzieja wracała.

Pewnego dnia otrzymała list od dyrektora z zapytaniem, czy nie wraca, bo czekają na nią z niecierpliwością.

Ucieszyła się bardzo i chciała podzielić się z Halinką tą wiadomością.

Ale coś ją wstrzymywało.

Miała wyraźne przeczucie, że wspomnienie o długich, tęsknych wieczorach, które znów sama będzie musiała spędzać, zasmuci i zaniepokoi dziewczynkę.

Pamiętała zbyt bardzo dobrze<sup>45</sup> scenę ostatnich dwóch teatralnych wieczorów.

Nic więc nie powiedziała.

Gdy nastał czas, że trzeba było dać lekarstwo dziecku, zbliżyła się do Halinki i podała jej krople.

Cieszyła się z całej duszy z lepszego wyglądu dziecka.

---

<sup>45</sup>*zbyt bardzo dobrze* — błąd stylistyczny; popr.: *zbyt dobrze* a. *bardzo dobrze*.  
[przypis edytorski]

Ale nagle w jakimś ukrytym kąciku jej duszy coś tajemniczo szepnęło: „a gdyby się nie poprawiła<sup>46</sup>, to nie żyjąc, nie przeszkadzałaby ci występować”.

Ohydna myśl ta wywołała napad bezgranicznej rozpacz.

Pobiegła do lasu i rzuciła się na ziemię.

Wpiła twarz głęboko w miękki mech i długo leżała tak bez ruchu.

Czuła taką straszną rozpacz i zarazem taki wstręt do tej cząstki swego „ja”, które jej szepotało tamte słowa, że miała tylko jedno życzenie namiętne — uciec, uciec przed samą sobą, aby już nic nie widzieć, już nie żyć.

Wreszcie uspokoiła się nieco.

Wolnym krokiem wróciła do domu.

Jakiś promień nadziei przebłysnął znów w jej duszy.

W domu znalazła list do siebie.

Przeczytała go na dole, nie wchodząc do swego mieszkania.

---

<sup>46</sup>*gdyby się nie poprawiła* — tj. gdyby nie poprawił się stan jej zdrowia. [przypis edytorski]

Przyniósł jej nowinę, że jej młodszy brat, niebezpiecznie chory, wyzdrowiał i był w drodze do Nauheim, aby ją odwiedzić.

Pobiegła prędko na górę, aby powiedzieć o tym Halince.

— Halinko! — wołała już w przedpokoju.  
— Zgadnij, jaką ci nowinę przynoszę?

Cisza...

— No, Halo, czy ty śpisz? Cóż, śpioszku mój — woła, śmiejąc się na progu pokoju.

I wchodzi dalej.

Cicho i ciemno.

Stoi przez chwilę nieruchoma.

— Halino! — woła głośniej. — Halino! —  
woła jeszcze raz.

Nie ma odpowiedzi.

Coś dziwnie zimnego zaczyna ją powoli przenikać.

Dusi ją coś tak strasznego, że sprawy sobie zdać nie może, czego się właściwie boi.

— Halino — mówi jeszcze raz głuchym głosem, podchodząc do kanapy.

— Halko — powtarza drżąca...

Ciągle cicho...

Na kanapie leży nieruchoma postać dziewczynki.

Nachyla się ku niej.

— Halino — mówi błagającym głosem. —  
Halinko, odpowiedz!

Dziecko leży z oczyma zamkniętymi.

Nagle zaczyna ją trząść za ramiona.

— Halino! — krzyczy głośno.

Z głuchym jękiem opada na ziemię — dotknęła się ręki zimnej jak lód...

Ale w tej chwili znów się zrywa.

— Nie, to nieprawda — szepcze i porusza dziecko — czemu ty nic nie mówisz, Halo!  
Halo!

Potem drżąca przykłada ucho do serca.

— Co to jest? — Nic nie słyszę! Nie, nie, to tylko tak się zdaje.

Rozdziera ubranie na dziecku i znów przykłada ucho.

Cisza zupełna.

Ze strasznym krzykiem upada na ziemię.

Dotknęła się zimnego, trupiego ciała...

Po kilku chwilach znów wstaje, podchodzi do dziecka.

— Halo, prawda, ty się obudzisz — Halko moja, prawda?

— Przecież ty sama widzisz, że to niemożliwe, ty musisz żyć!

Straszny płacz ją porywa.

— Halko! — krzyczy i rzuca się na ciało dziewczynki.

Potem nagle odrywa się od niej.

I obłąkane oczy utkwivszy w jakąś tajemniczą dal — „to ja ją zabiłam, to ja ją zabiłam, ja myślałam, że mi przeszkadza!”.

Nieludzki krzyk cierpienia wyrywa się z jej piersi.

Głowę przykłada do ciała dziecka i długo tak leży.

Nagle się znów zrywa.

— Słyszysz, ty musisz żyć — krzyczy — boś ty moje jedyne, ty musisz, to nie może być, nie może być! — powtarza machinalnie.

I teraz twarz jej przybrała jakiś nienawistny wyraz, cała jej postawa wyraża jedną wielką grozę.

A błędne oczy patrzą się gdzieś daleko, jakby na jakiegoś straszego wroga.

— Toś ty mi zrobił — krzyczy, nagłym ruchem wyciągając pięść — ty, tyś mi dziecko ukradł, jedyne, ty, ty, przeklęty!

Potem, jak gdyby nagle zrozumiała cały dramat chwili, z jednym przeciągłym krzykiem upada na ciało dziecka, przykrywając je całe.

Po chwili się odsuwa.

Jakiś dziwny dreszcz strachu przed tym trupem ją ogarnia. Wstaje i chwiejnym, nieśmiałym krokiem chce odejść trochę dalej, ale nogi jej się załamują, widzi jakąś czarną przestrzeń przed oczami migocącą, jakiś szum coraz głośniejszy, coraz bliższy w uszach — chwytą się krzesła stojącego w pobliżu, ale nie ma siły utrzymać się...

Z głuchym jękiem opada na ziemię złamana.

# ABY ŻYĆ

Zimno i ciemno.

Pojedyncze latarnie, rzadko rozstawione, rzucają niepewne światło na brudne ulice małego galicyjskiego miasteczka. Dziwnie niepewnie drgają te światła, oświetlając mury starych, śpiących domów.

Cisza panuje martwa na ulicach. Tylko gdzieś z dala dolatują jakieś oddźwięki, ginące znów w ciszy. Ziemia pokryta mokrym, klejącym się błotem po dżdżystym, zimnym dniu. Sklepy wszystkie od dawna pozamykane i dziwnie ponuro swymi spuszczoneymi okiennicami patrzą się w cichą noc.

Miasteczko śpi.

Po ciemnej ulicy idzie jakiś człowiek w grubej, niebieskiej bluzie. Stary kapelusz nasunął głęboko na czoło i idzie ciężkim krokiem. Głucho huczy w nocnej ciszy odgłos jego drewnianej podeszwy.



Spuścił głowę, włożył ręce do kieszeni i idzie wlokącym się krokiem.

Od czasu do czasu podnosi głowę i rozgląda się wkoło.

Nagle stanął i ciężko westchnął. Skłonił smutnie głowę i znów kroczy dalej.

Znów staje. Zda mu się, że go ktoś śledzi.

Złym wzrokiem ogląda się, ale i tamte kroki ustały i panuje cisza. Puszczą się znów w drogę. I znów słyszy ciężki stukający odgłos swych butów.

Teraz zwalnia kroku. Zbliża się do dzielnicy leżącej już właściwie poza miastem — dzielnicy najbiedniejszej.

Tu bruku już nie ma.

Błoto sięga mu aż do kostek i pokrywa mu buty grubą, brązową warstwą. Idzie wolno, sunąc nogi w ciemnej, zimnej, rozmiękłej masie.

Nareszcie staje.

Znajduje się przed małym, nędznym domkiem, z krzywym, słomianym dachem. Stoi przez chwilę niezdecydowany, potem ujmuje ręką mo-

kre sztachety zgniłej furtki prowadzącej do dzie-  
dzińca.

Gwałtownym ruchem odpycha je i wcho-  
dzi.

Przed drzwiami staje znów przez chwilę.  
Wzdycha ciężko i ręką w zakłopotaniu wo-  
dzi po czole.

Ciężkim krokiem wchodzi.

W korytarzu, prowadzącym do czterech po-  
koi, zamieszkiwanych przez tyleż rodzin, jest  
zupełnie ciemno.

— Jago! — woła przytłumionym głosem.  
— Jago!

Otwierają się drzwi zaraz na lewo i wysuwa  
się przez nie jakaś ciemna, wąska postać kobie-  
ca, chwyta go za rękę i wciąga do pokoju.

Wchodzi, ciężko oddychając.

Opada na jakieś krzesło i ukrywa twarz w rę-  
kach.

Ona stoi nieruchoma. Tylko jej niespokoj-  
ny wzrok ślizga się po jego postaci oświetlonej  
niepewnym blaskiem księżyca. Nie śmie pytać  
go.

Tak przechodzi chwil kilka.

Nareszcie odrywa ręce od twarzy i, podnosząc oczy na nią, mówi grubym głosem:

— No, cóż ty stoisz i gapisz się? Idź spać!

A ona zbliża się do niego i klęka przed nim.

— Więc znów nic — mówi głosem głuchym, rozdzierająco smutnym i opiera się głową o jego kolana.

— Przecież widzisz — odpowiada szorstko.

A potem nagle odwraca się od niej i zakrywa oczy ręką. Siedzi tak przez chwilę całym ciałem odwrócony w drugą stronę.

— Ojczy — mówi ona i, podnosząc się na wpół, odciąga jego rękę od twarzy — ojczy...

Jego ręka jest mokra.

— Daj pokój, dziecko — mówi nagle dziwnie miękkim głosem — daj pokój!

Potem nagle zrywa się i wstaje. Zaczyna chodzić po pokoju.

— I u ciebie nic, co, dziewczyno? — Głos jego twardnieje. — Nie znalazłaś żadnej pracy?

— I nagle gorzko się uśmiecha. — Tak, tak, sprawiedliwe losy — sprawiedliwe!

Nagle staje przed stołem i uderza weń gwałtownie pięścią.

— Jeśli ja temu człowiekowi karku nie nakręcę, temu złodziejowi — to niech mnie sto piorunów trzaśnie! — krzyczy dzikim głosem i żyły gniewu występują mu na czole.

— Ojczy, ojczy — dziewczyna drży cała w strachu — niech ojciec nie tak głośno... Dzieci śpią. Tak trudno było je uspić! Tak płakały z głodu!

W kącie pokoju leży pod jakąś dziurawą derką dwoje dzieci skurczonych z głodu, białych, nędznych.

— A czemuś im jeść nie dała, ty? — krzyczy on teraz nieprzytomnie. — To cóż, kiedy jeść się chce, to trzeba kraść, to trzeba się sprzedawać, słyszysz?

Wziął dziewczynę za ramiona i zaczął nią gwałtownie trząść.

— Przede wszystkim trzeba jeść, słyszysz? A reszta — to wszystko głupstwo; to dobre dla

bogaty, nie dla nas, słyszysz? — i trzęsie ją nieprzytomnie.

— Ojczy, ojczy — puść, ja się boję!

Ochłonał nagle, wypuszcza ją z rąk i opada znów ciężko na krzesło. Oparł się ręką o stół i siedzi tak przez chwilę. Potem znów zwraca się do niej:

— Słuchaj, Jago — mówi dziecinnym, prawie proszącym głosem — słuchaj, Jago, czy ty nic nie masz? Ani kawałeczka chleba, ani kawałeczka?

Ona smutno potrząsa głową.

A on chwycił się za żołądek i boleśnie się skrzywił, kurcząc się na krześle.

— Tak tu boli, tak boli... A może byś ty jednak spróbowała gdzieś dostać jeszcze — mówi nieśmiałym, drżącym głosem.

Ona smutno skinęła głową i podeszła do okna.

— Wszędzie byłam — mówi głuchym, beznadziejnym głosem — wszędzie byłam, nikt już nie pożycz!

A on znów staje i strasznym głosem krzyczy na nią:

— Słuchaj, przecież dzisiaj rano był jeszcze kawał chleba. Dlaczegoś o mnie nie myślała, dlaczegoś mi go nie zostawiła — mówi groźnym głosem, zbliżając się coraz bardziej do niej.

Ona przycisnęła się do okna i drżąc ze strachu mówi:

— Dzieciom dałam!

Nagle on zmienia głos.

— A ty? — mówi miękko, czule.

— Ja? Nie — ojciec... ja nie jadłam. — I nagle łzy wciskają jej się do oczu, ale zaraz energicznie je wyciera. — Przecież to nie pierwszy raz — dodaje z gorzkim uśmiechem.

On siada znów na krześle, ręce kładzie na stół, a twarz na ręce. Tak siedzi długo, milcząc.

— Jaguś, Jaguś — woła nagle jakiś cienki głos z drugiego kąta pokoju — Jaguś!

Ona podbiega szybko do rozbudzonego dziecka i klęka przy nim.

On z szeroko rozwartymi oczyma przypatrzuje się grupie swych dzieci. Ona głaszcze po włosach chłopaczka, który rozpaczliwie zaczyna płakać.

— Jaguś jeść — szłocha — jeść, je-eść!

Teraz i dziewczynka się obudziła i przyłącza się do płaczu brata.

A Jaga klęczy między dziećmi i stara się ukryć przed nimi postać ojca.

— No, śpijcie teraz, moje kochane dzieci — mówi uspokajającym głosem. — Śpij, Jaśku, tyś starszy — daj Marysi dobry przykład. Jak ojciec tylko wróci, a chyba zaraz wróci, to ja was obudzę. A przecież wiecie, że ojciec obiecał dzisiaj przynieść nam chleba, a kto wie, może jeszcze czegoś dobrego, kto wie... — i uśmiecha się przez łzy.

— Kiedy ojciec prędko ma wrócić, to już ja wolę poczekać tak — mówi Jaś i podnosi się na wpół.

A teraz nagle wybucha głośnym płaczem.

— Przecież tam ojciec już siedzi, to Jaga skłamała, Jaga niedobra. — I nagle zwracając się do niej twarzą pełną prawdziwej nienawiści zaczyna ją bić małymi pięściami — Jaga zła, Jaga kłamie.

Teraz i Marysia spostrzegła ojca i zaczyna płakać jakimś strasznie rozpaczliwym płaczem.

Rzuciła się na ziemię i teraz straszne szlochanie trzęsie jej całą drobną postacią.

Jaga klęczy przy dzieciach i rady sobie dać nie może. Zakłopotane oczy zwraca ku ojcu.

Ten nagle się zerwał.

Stoi przy stole i jakimś półobłąkanym wzrokiem patrzy na grupę swoich dzieci.

— Jago — mówi ochryplym głosem — Jago, będzie chleb. Zaraz będzie. Zobaczysz — przyniosę.

Jego oczy zapaliły się nagle jakimś tajemniczym ogniem.

— Zaraz będzie — będzie!

Gwałtownym krokiem zbliża się ku drzwiom.



— Ojczy, ojczy! — krzyczy Jaga, rzucając się za nim i łapiąc go za rękaw. — Co ojciec chce zrobić...? — Ale on lekko ją odpycha.

— Puść, dziecko! Nie, nie, dziecko. — Głos jego lekko drży. — Przypomniał mi się ktoś, kto da. Tak, tak — i strasznie wymuszony uśmiech teraz nawet występuje mu na twarzy. — Bądź spokojna, Jaguś, bądź spokojna!

I nagle chwyta ją ręką za twarz i z całą tkliwością ojcowskiej miłości całuje ją raz, dwa razy w czoło... Potem nagle się zrywa i śpiesznym krokiem wychodzi.

Na dworze teraz zupełnie ciemno. Latarnie od dawna pogaszone. Tylko księżyc rzuca niepewne, drżące światło — on teraz idzie jakimś cichym, jakby sennym krokiem, patrzy przed siebie, jak człowiek nieprzytomny.

Od czasu do czasu podnosi głowę i rzuca wkoło sprytne, niespokojne spojrzenie.

W całym miasteczku wszędzie cicho. Już karczma od dawna zamknięta i wszystko wydaje się pogrążone w jakimś głębokim śnie.

Idzie on sam jeden, jak widmo potępione po głuchej nocy.

Od czasu do czasu słyszy jakiś szelest. Ot, teraz głośniejszy.

Z zapartym oddechem staje, trzymając się kurczowo za drzewo. Błędnym wzrokiem ogląda się. Ale nie — to nic. To tylko był szelest kilku spadających liści jesiennych.

Wchodzi teraz w uliczkę ciemną i wąską. Znajduje się w niej tylko jeden jedyny dom i kilka ogrodów.

Teraz staje przy murze i przyciska się do niego.

Zdjął kapelusz i wyciera ręką zimny pot z czoła.

Oczy jego szeroko rozwarte wpijają się w każde okno po kolei.

Teraz zaczyna się ślizgać wzdłuż muru.

W domu tym znajduje się piekarnia.

Stoi teraz przed drzwiami i chytrym wzrokiem zawodowego złodzieja mierzy okiem siłę oporu. Potem wyjmuje z kieszeni swoje narzędzia stolarskie i zbliża jedno z nich ostrożnie

do drzewa. Robi to wszystko z całym spokojem i jakby automatycznie. Już cienia wahania nie ma na jego twarzy, tylko jakaś głucha, fatalna energia i ostrożność czuwająca...

Wzdrygnął się. Usłyszał blisko ucha jakiś głośny dźwięk. Mimo woli zamknął w pierwszej chwili oczy z wielkiego strachu, ale natychmiast rozszerzył je tym bardziej i obrzucił dom jednym bystrym spojrzeniem.

Wkoło nie widać nikogo. Wszystko po dawnemu cicho, spokojnie. Wstrzymał się w swej robocie i uważnie zaczął się wsłuchiwać w owe ciągle jeszcze drgające dźwięki. I nagle nawet jakiś blady, nieprzytomny uśmiech przemknął się po jego twarzy.

Poczuł, że to tylko chrapanie starej właścicielki piekarni tak go przestraszyło.

Ciche pęknięcie drzewa rozlega się teraz w głuchej nocy.

Przestraszony wstrzymuje się.

Jeśli to ktoś usłyszał? I znów ogląda się wkoło.

Nie, nie, to nic, szepce sam do siebie i wyciera rękawem zimny pot strachu, a narzędzie swe wpija coraz bardziej w stare, zgniłe drzewo.

A teraz chwieje się coś. Teraz może wyjąć jedną część, drugą. Naraz stoi przed otworem dość dużym, by mógł przesunąć swe ciało.

Nagle mu ręce opadły. Na chwilę wraca mu pełna świadomość swego czynu. Rozgląda się dokoła, jakby szukając pomocy.

— Ja nie chcę, ja nie chcę, jam<sup>47</sup> nie złodziej! — szepce coś w nim.

Zapach świeżego pieczywa roznosi się po powietrzu.

I znów bierze górę gryzący głód.

Nieprzytomny od pożądania, rzuca się, wskakuje gwałtownym ruchem przez otwór i łapie z dziką rozkoszą chleb, bułki, pakując wszystko do kieszeni, w bluzę.

— Co tam? Złodzieje, ratunku! — słyszy nagle głos.

---

<sup>47</sup>jam nie złodziej — nie jestem złodziejem. [przypis edytorski]

Właścicielka sklepu wybiega ze swej alko-  
wy i chce przecisnąć się koło niego do jedyne-  
go wyjścia.

— Ratunku, złodzieje! — krzyczy prze-  
straszona.

Wściekły strach go ogarnia. Chwyta babę  
za gardło.

— A będziesz milczała, jędzo — szepce ja-  
dowicie.

— Ratunku! — woła stara baba duszącym  
się głosem.

— Milcz! — krzyczy jeszcze bliżej, nachy-  
lając się nad nią i mocniej ściska ręką jej gardło.

Ucichła.

Z wolna ją teraz puszcza. Ciężkie ciało sta-  
rej kobiety opada bez życia na ziemię.

Nagle wściekły strach go ogarnia. Włosy  
jeżą mu się na głowie i krew jakby zatrzymuje  
się w obiegu. Oczy wpija w leżącą przed sobą  
postać bez życia.

— Jezus, Maria, Jezusie święty — szepce  
blady, zaczynając się żegnać raz po raz.

Tss, tss — coś się rusza nad jego głową. Wyskakuje gwałtownym ruchem przez otwór. Zaczyna pędzić do domu.

Pędzi bez chwili wytchnienia. Zda mu się ciągle, że idzie ktoś za nim, że go ktoś prześladowuje. Dusi go coś w gardle. Pędzi ciągle naprzód, naprzód przez spokojnie śpiące miasteczko, a długi jego cień za nim, za nim...

Dopiero przy drzwiach swego domu staje i przytomnieje.

— Czy to prawda — czy to prawda? — pyta się nagle.

Opiera się o sztachety parkanu i w rozpacz zagrzebuje ręce w swych włosach.

— Czy to prawda?

Czuje taką rozpacz straszną, duszącą, że chciałby rzucić się na ziemię, wpić się w nią, włosy sobie wyrywać...

Nagle odrywa rękę od głowy.

— Może to nieprawda? To musi być nieprawda! Chryste Panie — przecież to niemożliwe.

Nagle zawiało dziwnie aromatycznym zapachem.

Bułki!

Jak dzikie zwierzę rzuca się na jedną z nich i połyka ją od razu. O wszystkim zapomniał.

Jak wściekły wpada do swego mieszkania.

— Jeść dzieci, słyszycie? Jeść! — krzyczy i wyrzuca z kieszeni chleby i bułki...

— Jasiu! Marysiu — trzęsie zaspane dzieci — patrzcie, jest chleb. — I sam, jak wściekły, zaczyna im w usta pakować bułki.

A dzieci krztuszą się, ale śmieją się i płaczą z radości, całują nogi ojca, połykając, pożerając chleb.

— A ty, Jago! Cóż ty stoisz i nie jesz? — zwraca się jakimś nieswoim głosem do dziewczyny.

A ona stoi nieruchoma. Wlepiała swe oczy w ojca i patrzy na niego milcząco, jakimś strasznym, tajemniczym wzrokiem.

— Ojczy, skąd są te bułki? — pyta wreszcie głuchym głosem.

On się teraz pełną twarzą odwrócił do niej i żyły gniewu strasznie wyrastają na jego czole.

— To nie twoja rzecz, Jago, słyszysz? To nie twoja rzecz o to pytać. Jam twój ojciec. Ja tobie daję! To nie twoja rzecz o to pytać, słyszysz?

Zbliża się teraz do niej i groźnie pokazuje pięść.

— Ty tylko masz milczeć i jeść, albo...

Groźnie trzęsie pięścią przed jej oczyma.

A dziewczyna coraz bardziej wpija w niego swoje ciemne oczy, usuwając się w głąb pokoju.

Przez chwilę wydaje się, jak gdyby chciał pójść za nią; podnosi rękę, jakby do uderzenia, ale nagle opuszcza ją i wraca do stołu.

Siada, odwracając się tyłem do Jagi, bierze młodsze dzieci na kolana i wpycha im gwałtem bułki.

— No cóż, Jaśku, smakuje? — pyta dziecko, dziko pożerające. — A ty, Marysia?

— Ojczy, ja mam już dosyć — odpowiada dziewczynka zmęczonym głosem.



— Czego dosyć? Jeść masz, jeść masz — krzyczy dziko i wsuwa jej jeszcze jedną bułkę, jeszcze jedną.

— Kiedy ja mam już dosyć — płacze dziewczynka — ja chcę spać, ja chcę spać.

Teraz i Jaś się najadł i, zamknąwszy oczy, przytulił się do ojca, aby zasnąć.

Z wolna opuszcza on swoje dzieci z kolan i kładzie je w kącie na ziemi.

Potem wolno, wolno, wraca na swoje miejsce.

Kładzie głowę na stole, zamyka oczy i chce zasnąć.

Nagle podskoczył, jakby podrzucony niewidzialną siłą.

„Zabójca, zabójca!” — usłyszał wyraźnie jakiś tajemniczy głos. Wgrzebuje swe palce we włosy.

— Ależ nieprawda, ona musi żyć — musiała odżyć.

„Zabójca, zabójca” — słyszy ciągle w uszach.

Nagle wstaje i błędnym, nieprzytomnym wzrokiem ogląda się wkoło.

Wszystko wydaje mu się tak nieprawdopodobne, wprost niemożliwe.

Jego oczy wyrażają jakieś osłupiałe zdziwienie.

— Jak to? Co ja myślę? Ja? Ja? To przecież nieprawda! Ja, ja złodziej? Ja, ja, zabójca? Przecież to być nie może. To nieprawda.

I nagle widzi znów ze straszną wyrazistością całą scenę w piekarni.

Po raz pierwszy przenika go w całej swej pełni świadomość strasznego czynu.

Straszna rozpacz poczyna nim trząść. Bezradnym wzrokiem ogląda się wkoło.

Opada na ziemię i zaczyna szlochać jak dziecko.

„Przyjdą, zabiorą, zabiją” — ciągnie w nim dalej jakiś głos i — „zabójco, zabójco” — słyszy coraz groźniej!

— Chryste Panie, Chryste Panie, zmiłuj się nade mną! — i zaczyna targać swoje włosy.

A tam, w drugim kącie pokoju, leży jego córka i patrzy się w niego tępym wzrokiem.

Nagłym ruchem wstaje i zbliża się do niego.

— Ojciec — mówi groźnym, a pełnym strasznego wyrzutu głosem — czemuś to zrobił, czemuś to zrobił?

Kłęka przed nim i zaczyna go trząść za ramiona.

— Ojciec, czemuś to zrobił — mówi coraz żałośniej — ojciec, ja bym się prędzej była sprzedała, słyszysz? Sprzedała, niż gdybyś ty miał kraść.

Po wypowiedzeniu tego strasznego słowa instynktownie odsunęła się, jakby w obawie uderzenia.

Ale ojciec leży cicho, tylko straszny płacz nim targa.

Nagle z głuchym, głębokim jękiem podnosi się na wpół i, czołgając się na kolanach, zbliża się do niej.

Cały załzawiony całuje raz po raz jej ręce i krzyczy głosem pełnym nieludzkiego cierpienia:

— Przebacz, przebacz!

Potem gwałtownym ruchem odsuwa ją, staje i szybko zbliża się ku wyjściu.

Ona zastępuje mu drogę.

— Dokąd idziesz, ojcze? — woła przestraszonym głosem, chwytając go za rękę.

— Nie, nie, nie, Jago — rozpacznie się uśmiecha — puść, puść!

W jego oczach maluje się takie niezłomne postanowienie, taka fatalna siła rozpacz, że ona się odsuwa z błędnym spojrzeniem — przepuszcza go...

Na dworze panuje teraz przedświt. Szaro jeszcze i głucho. Cisza... przerywana tylko od czasu do czasu szczebiotem zbudzonego ptactwa.

Ciężkie, wolne swe kroki kieruje ku miasteczku — ku piekarni.

Głucha, beznadziejna rozpacz ogarnęła go całego. A jednak gdzieś tam w głębi duszy żarzy się jeszcze jakaś iskierka nadziei, że może jednak...

Jest tak obezwładniony, tak duchowo podupadły dzisiejszą katastrofą, że się nawet już nie boi, czy go teraz kto zobaczy, czy nie zwróci na siebie czyjejs' uwagi.

Idzie naprzód wolno, machinalnie.

Dopiero gdy się zbliża do miejsca zbrodni, mimo woli przyspiesza kroku. Ochwytuje<sup>48</sup> go jakaś półświadoma, gorączkowa nadzieja.

— Chryste Panie, Chryste Panie — jęczy i krople zimnego potu występują mu na czoło. — Chryste Panie — szepce — zmiłuj się!

Teraz znajduje się już przy domu. Na chwilę zatrzymuje się. Ale zaraz znów automatycznym krokiem posuwa się naprzód.

Teraz wzdrygnął się: znajduje się przed samym otworem.

Gwałtownie zamyka oczy, żeby nic nie widzieć.

Z całym wytężeniem nadśluchuje, czy nie usłyszy sennego chrapania baby.

Ale wszystko cicho, strasznie cicho...

Krew zamiera mu w żyłach.

---

<sup>48</sup>*ochwytywać* — neologizm, popr.: *pochwytywać*. [przypis edytorski]

Przez chwilę stoi nieruchomy, nie mogąc zdecydować się wejść.

Wreszcie, wreszcie machinalnie, nieprzytomnym krokiem wchodzi przez otwór do sklepu. Strach rozwiera mu szeroko oczy.

Na podłodze leży stara kobieta — nieruchoma.

A jednak nie chce, nie może jeszcze wierzyć.

Zbliża się do niej i gwałtownie łapie ją za rękę...

Zimna jak lód.

Z głuchym jękiem upada nieprzytomny na martwe ciało...

Gdy po kilku chwilach wreszcie wstaje, jest mu zupełnie jasno<sup>49</sup>, że to koniec.

Błędnym wzrokiem ogląda się wkoło. Machinalnie jego oczy błędzą po szarych, pustych ścianach, po stołach, po bułkach, które mu dziś

---

<sup>49</sup>*jest mu zupełnie jasno* — popr.: jest dla niego zupełnie jasne a. rozumie zupełnie jasno itp. [przypis edytorski]

w nocy tak rozkosznie pachniały i teraz wydają się patrzeć na niego jakimś głupim wzrokiem.

Z wolna posuwa się naprzód. Przechodzi znów przez otwór i wlecze się ciężkim krokiem przez miasto.

Nie myśli, nie czuje już nic, tylko, że to koniec.

— Znajdą, zabiorą, zabiją — myśli półświadomie.

Jakaś rozpaczna rezygnacja ogarnęła go, i wszystko już dlań<sup>50</sup> obojętne.

— Wezmą, zabiją... — powtarza sobie.

Nagle zimny pot oblał go całego: ujrzał przed oczyma szubienicę i kata.

Krew wielką falą uderzyła mu do głowy. Mimo woli nogi jego wykonywają coraz szybsze, coraz szybsze ruchy.

— Zabiłeś — więc zabiją! — stara się wmówić w siebie zupełnie spokojnie.

A jednak coraz szybciej, coraz szybciej biegnie.

---

<sup>50</sup>dlań — skrót od: dla niego. [przypis edytorski]

A może nie znajdą, może nie będą wiedzieli, że to ja, albo może zdążę uciec, może...

Biegnie, biegnie, coraz prędzej, coraz prędzej.

Wydaje mu się, jakby ta droga ciągnęła się bez końca, jak gdyby ciągle przed nim uciekała, jak gdyby nigdy nie mógł dobiec.

Hen, w polu dopiero, staje cały zadyszany. Siada w rowie i ukrywa twarz w rękach.

— Może nie znajdą, może nie znajdą, może jeszcze będę mógł żyć?

I podnosi się znów i pędzi, pędzi, wiele mu sił starczy.

Nareszcie daleko za miastem zmęczony pada na ziemię. Błędnym wzrokiem wpatruje się w niebo.

Tam na wschodzie zabarwiły się już obłoczki różowymi odcieniami świtu. Błędnie patrzy w dal...

— Tak, może ucieknę, może ucieknę — mówi machinalnie i podnosi się znów, aby iść dalej.



Ale już go nogi nie niosą i osuwa się znów na ziemię.

Leży nieruchomo z zamkniętymi oczyma. Ręce sztywnie<sup>51</sup> wyciągnięte.

Śmierć, śmierć — szepczą kłosa nad jego głową.

Śmierć — śmierć — świergocą ptaki.

Nagle podniósł się na wpół, wyprężając całą swoją postać w nieludzkim strachu.

Ujrzał wyraźnie sztywną, wyciągniętą postać starej kobiety z osłupiałymi, martwymi oczyma.

Rozszerza oczy, żeby odpędzić od siebie szklany wzrok, ale ten coraz bardziej wpija się w niego.

— Jezusie Święty — zaczyna jęczeć — Matko Przenajświętsza! — i obejmuje pień drzewa w bezgranicznym strachu.

— Zmiłuj się, zmiłuj się! — tępy jego wzrok kieruje się ku słońcu wchodzącemu.

Nagle krzyknął w głos:

---

<sup>51</sup>*sztywnie* — dziś popr. forma: sztywno. [przypis edytorski]

— Jago moja, Jasiu, Marysiu, co to będzie, co to będzie! — i zaczyna bić głową o ziemię.

Nagle krzyknął znów rozdzierającym głosem.

Ujrzał przed sobą oczy, owe martwe, szklane oczy.

Wbijają się w niego, wżerają się coraz głębiej, coraz głębiej, przeszywają jego ciało, jego kości...

Nagle wstaje.

Ogląda się dziwnie osłupiałym wzrokiem wkoło i wyjmuje z całym spokojem gruby sznur ze swej kieszeni. Potem znów z całym spokojem próbuje jego siły.

Wie, że musi skończyć ze sobą, że nie wytrzyma dłużej tamtego wzroku i że go to wyzwoli.

I dziwnie zimny, dziwnie spokojny stał się od chwili tego postanowienia.

Automatycznie wykonywa<sup>52</sup> wszystkie czynności.

---

<sup>52</sup>*wykonywa* — dziś popr. forma: wykonuje. [przypis edytorski]

Wybiera silną gałąź, zawiązuje sznur na niej, robi pętlę...

Teraz wchodzi na drugą gałąź i z wolna, z wolna przesuwa głowę przez pętlę.

Siedzi teraz na drzewie i patrzy głucho w ziemię.

— Więc koniec — myśli — więc koniec...

Oczy jego patrzą błędnie na pole, na drogę, na niebo. Żal duszący ściska go za gardło.

— Więc to wszystko mam opuścić, opuścić — myśli półświadomie...

Nagle krzyczy nieludzkim rykiem.

Jego nogi opuszczają gwałtownym ruchem podtrzymującą je gałąź. Ujrzał tuż, tuż koło swej twarzy bladą trupa twarz, patrzącą strasznym wzrokiem w niego.

W tej chwili tam, na wschodzie, wynurza się wielka, złota kula słońca.

Jego nogi gwałtem szukają podpory, ręce łapią powietrze, oczy łamiące się szukają gdzieś wkoło pomocy.

Jeszcze kilka odruchów, rozpaczliwych, kurczowych wysiłków, coraz mniejszych, coraz słabszych, coraz rzadszych — koniec.

## ZA WIELE

Dzisiaj rok temu, jak ona umarła.

Długi, szary rok. Wraca z cmentarza, cały jej grób zasypał kwiatami: liliami dużymi, białymi, jak ona lubiła.

Wraca z cmentarza z głową spuszczoną, z oczami tępo wlepionymi w błoto pokrywające szosę, po której stąpa.

Idzie ciężkim krokiem, nogi głęboko zanurzają się w rozmiękłą przez częste deszcze ziemię.

Już zapada szara godzina.

Głuchy spokój panuje na ulicy; tu i ówdzie tylko mija go jakiś przechodzień, wracający z cmentarza, niby cień cichy. Idzie wolnym krokiem, ręce włożył do kieszeni ciepłego palta, głowę wsunął między ramiona...

Z drzew kapią powoli ciężkie, smutne krople, zabytki ostatniego dżdzu.

Jedna za drugą, jedna za drugą... Ciągłe to samo obijanie się o ziemię z tym głuchym pustym łoskotem — jak dni, przesuwane się w tym roku ostatnim, jeden za drugim, jeden za drugim...

Takie puste, takie długie a tęskne...

Rano wstawał, budząc się po kilku godzinach ciężkiego, żelaznego snu — ubierał się machinalnie i kazał sobie podawać śniadanie.

Był zdolny tak nieraz godzinami siedzieć nad filiżanką kawy — wlepiwszy oczy w ten płyn brązowy.

Albo nieraz brał łyżeczkę do ręki i trzymał ją tak kwadrans, albo i dłużej, zapominając zupełnie o jedzeniu.

Nieostrożny ruch ręki budził go z zamyślenia.

Właściwie to nie było zamyślenie, to był letarg, jakaś melancholia, doprowadzana do granic przytomności.

Potem brał machinalnie jakąś gazetę do ręki.

I znów siadywał nad nią godzinę lub dwie. Ale ani słowa z tego, co czytał, nie rozumiał.

Wreszcie się podnosił i długim, ciężkim krokiem przechadzał się po pokoju.

Nieraz stawał przy oknie i patrzył na przechodniów.

Nieprzytomny jakiś uśmiech przesuwiał się po jego twarzy na widok czegoś śmiesznego.

Ale zaraz zastępował go wyraz głuchej martwoty.

Co dzień odwiedzał jej grób.

Wszyscy biedni na długiej alei prowadzącej do cmentarza znali go już dobrze i wyciągali do niego rękę.

Z początku nie zwracał na nich uwagi, ale pewnego dnia przypadkiem spostrzegł ten cały szereg nędzarzy i odtąd, przechodząc koło nich, machinalnie rzucał im po kilka groszy.

Szedł zawsze wolnym, sennym krokiem, zatrzymywał się przy tej samej kobiecie z kwiatami-

mi i kupował zawsze też same kwiaty — duże, białe lilie.

Na cmentarzu zawsze tym samym wolnym zmęczonym krokiem zbliżał się do jej grobu.

Nie było na nim ani pomnika, ani tablicy nawet; nieprzyjemną była mu myśl, żeby ktokolwiek obcy czytał jej imię, jej święte imię — i zdawało mu się jakoby ta tablica z jej imieniem była profanacją. — Nie miała ona dla niego nazwiska, nie miała wieku; była ona dlań nie kochaną zmarłą jednostką, ale wcieleniem szczęścia, słońcem życia — wszystkim.

Z chwilą jej śmierci — wszystko utracił.

W pierwszych czasach po jej zgonie klękał na ziemi, przyciskał głowę do jej grobu i pozostawał tak długo bez myśli, tylko z jednym uczuciem bezbrzeżnego bólu.

Potem się nieco odsuwał i rozpamiętywał ich wspólne życie — wszystkie chwile szczęścia przeżywał po tysiąc razy, powtarzał sobie wszystkie jej słodkie słowa.

Zdarzało się, że nagłym ruchem zarzucał ręce na grób i wybuchał długim, rozpaczonym płaczem.

Zdarzało się, że krzyczał głośno: „to nie może być, to nie może być, nie wytrzymam, nie wytrzymam!”.

Ale to tylko w pierwszych czasach.

Potem się dziwnie uspokoił: jakaś głucha martwota zapanowała na jego twarzy i tylko rzadko przesuwiał się po niej wyraz rozpacz.

Po dwóch, trzech godzinach wstawał i wracał do swego cichego, martwego mieszkania.

Rozmyślał nieraz, że gdyby mu była została<sup>53</sup> dziecko, miałby choć coś, w czym by cząstka jej istoty się przechowała, odżyła, coś, na co mógłby całą siłę swej miłości przenieść, coś, co by go pieściło łapkami, przypominającymi jej ręce, oczami, w których by się jej dusza odbijała.

A tak był sam, sam z tą głuchą beznadziejnością.

---

<sup>53</sup>*była zostawiła* — dawna forma czasu zaprzeszłego, odnoszącego się do czynności wcześniejszej od czynności wyrażonej czasem przeszłym prostym; znaczenie: zostawiła uprzednio, wcześniej. [przypis edytorski]



Co dzień, o tej samej porze, odbywał przechadzkę po wszystkich pokojach swego mieszkania.

Co dzień wchodził do sanktuarium, jak on jej pokój nazywał, podchodził do wszystkich jej mebli i całował je ostrożnie, delikatnie, jakby się bał je zepsuć... Potem się zbliżał do wieszaka, na którym wisiały jej suknie, jakie miała na sobie w przeddzień śmierci.

Stawał i zanurzał swą zmęczoną twarz w te materiały, w których jej ciało oddychało, drżało, żyło.

Całował po tysiąc razy te rękawy, które przykrywały jej białe, cudne ramiona, z których wyrastały ręce, niby lilie na wiotkiej łodydze.

Przyciskał do ust swych tę wstążkę, która opasywała jej gibką postać, niby powój brzozę.

I stał tak kwadransy całe, godziny...

Wreszcie zmęczony, machinalnie opuszczał jej pokój i wracał do swego gabinetu.

Kazał sobie ustawić drugie biurko, nie chcąc ruszać tego, które ona mu ostatni raz sprzątnęła.

Właściwie od chwili jej śmierci nic nie robił.

Nieraz brał pióro do ręki i chciał pisać.

Ale siedział godzinami całymi nachylony, wpatrzony w biały arkusz papieru, a pióro było bezczynne.

Albo pokrywał cały arkusz jakimiś hieroglifami nieczytelnymi.

Gdy szara godzina nadchodziła, siadywał na kanapie i krył twarz w dłonie, wsłuchany w głuchą ciszę pokoju — od czasu do czasu tylko dolatywał do niego jakiś przytłumiony dźwięk z oddalonej kuchni, a wkoło niego była cisza, martwa cisza.

I wtedy zdawało mu się, że przysuwa się coś cichym, lekkim, bezcielesnym krokiem i kładzie mu rękę na głowie, miękką, kochaną rękę.

I czuł jakiś lekki oddech przy sobie, ciepły, znany...

Gdy oczy otwierał, była wkoło niego głucha, szara, martwa, zimna pustka.

Tylko raz zdawało mu się, gdy siedział, jakby przez drzwi przesunął się lekki, biały cień ze świecą w ręku.

Ale to tylko raz jeden.

Co dzień przychodziła doń matka: siadała przy nim i przytulała do siebie jego głowę — jak dziecka małego...

Pozwalał na wszystko z wielką, głuchą obojętnością — machinalnie tylko brał jej rękę i całował ją.

Tylko raz opanował go straszny gniew — wtedy, gdy matka zaczęła go namawiać, by zmienił mieszkanie pełne wspomnień o niej i wziął się do pracy, do życia.

— Przecież ty nie żyjesz, zlituj się! Patrzeć na to nie mogę, ty się zabijasz! — mówiła biedna, zakłopotana kobieta.

Ale on się opierał.

Im bardziej go namawiała, tym uporczywiej obstawał przy swoim.

Wreszcie wybuchnął gniewnie: wszystko mu zabrać chcieli, nie dość, że śmierć mu ją zabra-

ła, nie, nawet wspomnienia zatrzeć chcą, nawet pamiątki zabrać!

Od tego czasu matka milczała.

Niekiedy wstępował który z przyjaciół dawniejszych dni i starał się go rozweselić.

Ale on na wszystko zasadniczo nie odpowiadał.

Wprost milczał, jakby nic nie słyszał.

— Zwariował — mówili ludzie...

A dzisiaj rok, rok temu.

Stał przed jej grobem i obsypał cały deszczem kwiatów, potem ukląkł przy tej świętej ziemi, z którą się jej ciało zmieszało i zaczął ją całować.

Nie miał już łez dla swego bólu.

Wszystkie łzy już wymarły w tym bezmiernym cierpieniu.

Wstał, przeszedł po długich, ciemnych, tak dobrze znanych mu alejach i wrócił do domu.

Do domu?...

Gdzie teraz był jego dom, jeśli nie tam, gdzie jej drobne, kochane ciało spoczęło, jeśli nie ziemia, w którą ją złożyli.

Szczęśliwa ziemia, że mogła ją przytulić, otulić na zawsze.

Długa, ciemna była droga przez brudne, źle oświetlone ulice.

Było tu dużo ludzi, dużo życia.

Widział to wszystko jakby przez sen; jakoś dziwnie obce wydało mu się to wszystko, to życie.

Wróciwszy do swego mieszkania, usiadł w gabinecie na otomanie<sup>54</sup>.

Nie zapalił lampy.

Ręce szeroko rozłożył na poręczach kanapy, oczy wpił w czarne ściany pokoju.

Jakaś latarnia rzucała słabe, niepewne światło na podłogę.

Więc dzisiaj rok, rok temu.

Szereg dni bez końca wlokących się, monotonnych dni — dni utkanych z jednej strasz-

---

<sup>54</sup>*otomana* — rodzaj niskiej kanapy z miękkim oparciem. [przypis edytorski]

nej, duszącej tęsknoty, z jednej beznadziejnej rozpacz, z jednej wielkiej świadomości, że już nigdy nie wrócą dni szczęścia, że jej już nigdy, nigdy nie ujrzy...

Jakby znużony, zamyka oczy.

Przed jego oczami przesuwa się jakiś długi, bez końca, szereg szarych mniszek.

Wloką się jednostajnym, zmęczonym krokiem, powłóczyste ich szaty posuwają się wolno naprzód z jednostajnym szelestem; szerokie ich rękawy ospale zwieszają się; monotonnym ruchem kiwają wszystkie głową, a twarze, dziwnie jednostajne, patrzą przed siebie z jakimś głuchym wyrazem martwoty.

Otworzył szeroko oczy, aby się uwolnić od tej przygniatającej wizji.

Ale ciągle jeszcze słyszy jednostajny szelest, jakby od powłóczystych szat...

Wstaje, aby się uwolnić od dziwnego strachu, który go powoli ogarnia.

Przechadza się ciężkim krokiem po pokoju.

Przed jego oczami staje jej grób: białe lilie na wiotkich łodygach poruszają się dziwnie tęsknym ruchem w powiewie wiatru. Wszystkie razem się kołyszą jakby w rytm jakiejś tajemniczej muzyki, dziwnie smutnej, dziwnie żalostnej...

Wszystkie pochylają ku niemu swe główki, jak gdyby go przyzywały w tęsknocie.

Przystąpił do okna, aby ich nie widzieć.

Ale teraz słyszy wyraźnie żalostną muzykę ich cichych ruchów.

Energicznie odrzucił głowę w tył.

I znów zaczyna się przechadzać.

Przerazający wydaje mu się odgłos jego kroków. Staje przez chwilę i nadśluchuje: wszystko cicho.

Postąpił dalej, ale znów stanął przestraszony: zdaje mu się, że szmer jego kroków przeszkadza mu słyszeć, czy się w jego mieszkaniu nie dzieje coś nadzwyczajnego.

Stanął i nadśluchuje: wszystko cicho.

Teraz nawet blady uśmiech wystąpił na jego twarz.

— Cóż znowuż, co miałyby być?!

I znów idzie dalej.

Nagle stanął z zapartym oddechem.

Tam, wprost przed nim, poruszyło się coś białego... Nie, to nic, to tylko firanka.

Chodzi po pokoju, ale ostrożnie, cicho, bo-  
jaźliwie.

Staje.

Jakiś szmer...

Ogląda się wkoło szeroko otwartymi oczy-  
ma.

Stara się zagłuszyć ten strach myślą o daw-  
nych, słonecznych dniach.

Nagle stanął jak osłupiały.

Ujrzał przed sobą wyraźnie jakąś białą po-  
stać, stojącą z martwym spokojem.

Przez chwilę nie wie, co robić...

Potem zbliża się niepewnym krokiem.

Nie, to były tylko długie, wąskie drzwi, któ-  
re w jego rozgorączkowanej wyobraźni przy-  
brały kształty postaci ludzkiej.

Drżącą ręką dotyka się ich, by się przeko-  
nać, że to doprawdy tylko drzewo.



Ciężko opada na kanapkę i zakrywa twarz ręką.

Może tak, nic nie widząc, uspokoi się, może wtedy opuści go ten wielki strach.

Stara się utopić swój niepokój we wspomnieniach minionych dni.

Ale nic sobie nie może przypomnieć.

Przyzywa ją do siebie, ale ukazuje mu się tylko martwa, blada, jak ją wtedy ujrzał po raz ostatni.

Dreszcz go przejmuje.

Po raz pierwszy od chwili jej śmierci przypominają mu się z taką wyrazistością wszystkie szczegóły jej wyglądu na łożu śmierci.

Przypominają mu się oczy złamane, patrzące w martwym osłupieniu w jakąś dal...

Przypominają mu się jej ręce, małe, białe rączki kurczowo ściśnięte w napadzie bólu.

Widzi przed sobą blade, wykrzywione usta, wykrzywione w nadludzkim cierpieniu i widzi przed sobą z namacalną wyrazistością jedną... kroplę krwi martwej, stężałej w kącie ust...

W nadludzkiej męce straszny jęk wyrywa się z jego piersi.

I widzi przed sobą tę długą, białą szatę, pokrywającą jej całą postać, jakby poruszającą się w niepewnym oświetleniu małej lampki.

Oparł łokcie o kolana i twarz ukrył w dłoniach.

— Nie wytrzymam, nie wytrzymam!

Tss...

Jakiś lekki szmer.

Zimny dreszcz go przeszył.

Słucha z zapartym oddechem.

Tss, tss, tss...

Coraz bliżej...

Chce oderwać rękę od twarzy, by spojrzeć temu czemuś w oblicze, ale nie może, nie ma wprost siły.

Siedzi jakby martwy.

Tss, tss, tss... tuż nad jego uchem.

Skulił się cały w obłędnym strachu, wpijając palce w rozpaczliwym kurczu w twarz.

Słyszy lekki, leciutki szelest w powietrzu jakby od podniesienia ręki.

Ktoś ciężką położył dłoń na jego głowie.  
Ugina się cały pod strasznym ciężarem.  
Teraz wolno zimne, sztywne palce obejmują jego szyję.

Dusi się...

Z rozpaczonym<sup>55</sup> wysiłkiem chce się wyzwolić ze strasznego uścisku, ale palce trzymają go mocno, jak obręcz.

Głowa coraz niżej schyla się pod wielkim ciężarem i słyszy cichy, leciutki jak powiew wiatru głos:

— Już zawsze...

Poznaje głos swej żony.

— Puść! — mówi do niej, jakby dusząc się.

Ale ona go nie puszcza.

— Już zawsze tak, już zawsze tak!

I lekki, leciutki jakby śmiech szyderczy...

— Puść — powtarza głośniejszym głosem — puść!

— Zawsze tak, zawsze tak!

Przed jego oczyma przesuwa się długi, jakby bez końca, szereg szarych mniszek.

---

<sup>55</sup>rozpaczny — dziś popr. forma: rozpaczliwy. [przypis edytorski]

Ale teraz mają twarze szyderczo wykrzywione i ich złośliwe oczy z widoczną radością patrzą na jego mękę.

— Puść! — krzyczy w głos, krzyczy nieprzytomny.

Ale ręka na jego głowie jeszcze mocniej się opiera i zimne, sztywne palce ciaśniej obejmują jego szyję.

— Ha, ha, ha — słyszy jakiś lekki, leciutki śmiech w powietrzu.

— Ha, ha, ha — powtarzają wszystkie mniszki ze wstrętnym wykrzywieniem ohydnych twarzy.

— Puść! — krzyczy nieprzytomny i zrywa się.

Z szeroko rozwartymi oczyma rozgląda się do koła.

Nikogo nie ma.

Chwyta się za głowę.

— Ja chyba zwariuję, ja chyba zwariuję — szepce blady...

Uciekł do pokoju swej żony, aby tam oddać się znów swym ulubionym rozmyślaniom o niej, o czasach słonecznych.

Zapalił lampkę i usiadł na małym stołeczku przy jej łóżku.

Rozgląda się po przedmiotach, po ścianach, w których ona żyła.

Westchnął głęboko i ukrył twarz w dłoniach.

Więc to już dzisiaj rok.

Rok temu, siedział tam w swym gabinecie i obmyślał ostatni akt swego dramatu...

Rok temu — błysnęła mu myśl ostatnia, subtelna, dla zakończenia jednej głównej sceny...

Rok temu, właśnie w tej chwili szczęścia wielkiego, wpadła do niego służąca, cała blada i drżąca i krzyknęła:

— Nie wiem, co się pani stało, pani się nie rusza, pani się nie rusza!

Rok temu, zerwał się jak nieprzytomny i rzucił się do pokoju swej żony i tam, nachyliwszy

się nad jej ciałem, zaczął nią trząść, by się poruszyła...

Rok temu, w jej blade, martwe usta wdychał swój oddech żywy, gorący, aby się obudziła...

Rok temu, wciskał coraz głębiej ucho w jej ciało, aby uczuć drgnienie życia...

Rok temu, jak nieprzytomny, zaczął biegać po pokoju, wyrywając sobie włosy z głowy i rycząc wniebogłosy z bólu...

Rok temu, przyszli, zanieśli go do łóżka i zaczęli mu dawać środki jakieś uspokajające, jakieś okłady...

Rok temu, matka stanęła przy jego łóżku i doktor szepnął jej cicho:

— Boję się, żeby nie zwariował.

Rok temu, on się wyrwał z objęć matki, z rąk doktora wstrzymującego go, krzycząc:

— Ja chcę do żony, chcę do żony — ona żyje, musi żyć!...

Rok temu, w nocy, gdy usłyszał chrapanie doktora w przyległym pokoju, a matka zasnęła

przy jego łóżku w fotelu, wstał cicho, cichuteńko z łóżka i wkradł się do jej pokoju...

Mała lampka paliła się na stoliku, a na łóżku leżała ona blada...

Rok temu, podskoczył do niej jak dzikie zwierzę i wpił się ustami w jej ciało...

Rok temu, jednym gwałtownym ruchem odskoczył od tego martwego... posągu...

Rok temu, tłukł swoją głową o ściany coraz silniej, coraz mocniej, aż upadł nieprzytomny...

Rok temu, zamknęli go w jakimś białym pokoju z siostrą miłosierdzia i doktorem, gdzie jej nie było, gdzie nie przyszła nigdy już, nigdy...

Rok temu, widział ją po raz ostatni.

Westchnął głęboko i odjął ręce od twarzy. Tęsknym wzrokiem rozejrzał się po pokoju.

Mała lampka rzuca słabe zielonawe światło na białe ściany pokoju.

Wszystkie meble i przedmioty mają dziwnie ospały wygląd, jakby umarły w chwili, gdy ich pani umarła.

Tylko jasnoróżowy szlafroczek na haku koło drzwi wydaje się jeszcze żywy, wyczekujący swej pani.

Stęsknionym krokiem zbliża się do niego, zanurza swą twarz w miękkim materiale, w koronkach...

Ma on w sobie jeszcze ten leciutki, ledwie dostrzegalny, zapach jej drobnej postaci i zdaje mu się, że ona zaraz przyjdzie, że się przytuli do niego, obejmie...

Głęboko wsunął twarz w szerokie fałdy ranego ubrania.

Nagle gwałtownie odskoczył...

Czuł wyraźnie, jak zimne, sztywne palce objęły jego szyję, jak ciężka, twarda ręka spoczęła na jego głowie...

I usłyszał wyraźnie szyderczy, głośny śmiech: „już zawsze, już zawsze!”.

Odskoczył.

Rozgląda się jak nieprzytomny po tym nagle obcym pokoju.

Jakąś głuchą, tęskną martwotą wyzierają te meble, jakiś śmiertelny oddech noszą w sobie.



Śmierć wieje od wszystkich tych zimnych, opuszczonych ścian; śmierć wieje od tego łóżka pustego, na którym jej martwe ciało spoczywało, śmierć wieje od tego lustra, już nieużywanego, śmierć od wszystkich tych cacek, którymi już nikt się nie cieszy...

Zimny dreszcz go przeszywa aż do szpiku kości.

Jakieś grobowe powietrze zdaje się panować tutaj.

Długi, dłuższy jeszcze dreszcz go przenika. Wzrok jego znów pada na ten mały, różowy szlafroczek, który miała na sobie w przeddzień śmierci.

On jeden jeszcze tchnie życiem.

Instynktownie zbliża się do niego i ukrywa w nim twarz.

Z wolna przysuwa się do niego jakaś ręka i mocno obejmuje jego szyję.

Lecz nagle szata ta zawiąła jakimś dziwnie mdłym zapachem kwiatów pogrzebowych.

Gwałtownym ruchem rzucił ją na ziemię.

— Nie chcę, żebyś mnie męczyła — krzyczy nieprzytomny — nie chcę, żebyś mnie męczyła!

Jakby skulony ze strachu, leży szlafrok na podłodze.

A on oparł gorące czoło o żelazną poręcz łóżka i stoi tak przez chwilę nieruchomy.

Jakaś twarda ręka przygniata mu głowę...

I jakby wszystkie przedmioty ożyły, zdają się opuszczać swe miejsca i zbliżają się ku niemu coraz bardziej — coraz bardziej...

Nawet szlafrok wstaje i zbliża się.

Coraz bardziej obstepują go wszystkie sprzęty, coraz szczelniej zacieśniają go w kole, a szlafrok staje zupełnie blisko niego, zarzuca mu rękawy na szyję, które nagle stają się sztywne, zimne i ściskają go coraz mocniej.

— Nie opuścimy — śpiewa jakiś chór — nie opuścimy!

— Puśćcie mnie!

— Nie opuścimy — powtarza chór.

Nieprzytomny porywa lampę ze stolika i rzuca ją na środek pokoju — tam, gdzie leży jej ubiór ostatni.

Wielki płomień wybucha.

Przez chwilę osłupiałym wzrokiem patrzy na ogień, pożerający coraz bardziej różowy szlafroczek, wyglądający dziwnie bezbrinnie, jakby błagając o pomoc...

Płomień coraz bardziej się rozszerza.

Dwoma krokami znajduje się przy drzwiach pokoju.

Bez kapelusza, bez palta wydostaje się na ulicę.

Jakby pędzony biegnie naprzód, coraz dalej...

Zdaje mu się, że słyszy za sobą jakieś dziwne głosy: „nie opuścimy, nie opuścimy”, i odgłos dziwnych kroków, jakby od drewnianych nóg.

Coraz spieszniej pędzi przez puste ulice...

Wreszcie staje zadyszany.

Opiera się o mur i wyciera pot z czoła.

Rozgląda się.

Znajduje się w dzielnicy zupełnie niezna-  
nej, ciemnej, pustej.

Ciężki deszcz zaczyna kropić.

Z wolna posuwa się naprzód.

Głowę schylił głęboko<sup>56</sup>.

Kieruje swe kroki ku mieszkaniu matki.

Nie zwraca uwagi na ciężkie krople desz-  
czu, które mu spływają po twarzy.

Idzie zupełnie bezmyślnie.

Tylko jeden głęboki, głuchy ból czuje tam  
gdzieś, w głowie.

Wreszcie staje.

Znajduje się przed mieszkaniem matki.

Głęboko westchnął, wchłaniając w siebie  
świeże, przesiąknięte wilgocią powietrze.

Dziwnie lekkim krokiem wchodzi na górę.

Tak jak kiedyś, za szkolnych czasów — my-  
śli odruchowo.

Wchodzi do mieszkania.

Przyjmuje go matka z większą niż zwykle  
czułością.

---

<sup>56</sup>*głowę schylić głęboko* — popr. raczej: *głowę schylić nisko*. [przypis edytorski]

— Właśnie chciałam pójść do ciebie, Janku  
— mówi swym miękkim, pocziwym głosem.

Wstrząsnął się.

— Do mnie — powtarza automatycznie.

— No tak, bo przecież myślałam, że dziś...

— tu przerywa i spogląda na niego wzrokiem pełnym współczucia.

— Chodź, dziecko moje, no, chodź, pomówimy z sobą o przeszłości. Czemuż nie siadasz? — pociągnęła go lekko za rękaw.

On ciągle stoi nieruchomy, jakby martwy.

— Czy byłeś dziś u niej? — pyta dalej swym dobrym głosem.

On ciągle stoi, jakby nie słuchał.

A ona wstaje, podchodzi do małej szafeczki i wyjmuje z niej wąską kopertę.

Spiesznie zbliża się do syna.

— A widzisz, co ja dzisiaj znalazłam dla ciebie — zupełnie o tym zapomniałam, kiedyś mnie prosił o wszystkie jej listy.

— Ot, to jest taki jej kochany liścik jeszcze z pierwszych czasów.

— No bierzże<sup>57</sup>, cóż ty tak stoisz bez życia?

— Czyś wcale nie ciekaw?

Gwałtownym ruchem odpycha kopertę od siebie i dalej stoi z zasepioną twarzą.

— Co ci jest, co ci jest? — i czule bierze jego rękę...

— Czy dlatego, że dziś rok temu?...

— Ja nie chcę, byś o tym mówiła! — krzyczy nagle i pięścią uderza w stół. — Ja nie chcę, byś o tym mówiła!

— Ale o czym — o czym? — pyta matka. Opadł nagle na krzesło.

— Ja nie chcę, żebyś o niej mówiła!

— Ja żądam, byś mi nigdy o niej nie wspominała — słyszysz, ja chcę zapomnieć, ja nie wytrzymam, ja chcę, by mi nikt o niej nie wspominał, nikt, nigdy!!! Ja cię proszę, ja cię błagam!

— Ależ dobrze, uspokój się — odpowiada przestraszonym głosem...

Nagle głuchy łoskot...

Upadł na podłogę nieprzytomny.

---

<sup>57</sup>*bierzże* — konstrukcja z partykułą wzmacniającą -że. [przypis edytorski]

Na cmentarzu znajduje się skromny grób bez pomnika, bez napisu, cały pokryty zielenią. Rosną na nim kwiaty, ale dzikie.

Pamiętają ludzie, że przed kilkoma miesiącami grób ten był zawsze przykryty dużymi, białymi liliami.

— Pewnie umarł ten, kto się o to troszczył — mówią jedni.

— Zapomniał — szepcą drudzy.

A inni, co przychodzą na smutną pielgrzymkę, przechodząc koło znanego grobu znanej im osoby — „nie kochał — zapomniał” — mówią...

„Nie kochał, zapomniał”.

## MORZE

Nazywali ją ludzie wariatką.

Miała duże, zielone oczy, okrążone gęstymi, długimi, czarnymi rzęsami, zapatrzone gdzieś, w jakąś błędną dal albo pokryte powiekami, dziwnie nieruchomymi, martwymi, jakby nieprzytomne, śniące...

Złotawe, lśniące włosy otaczały proste, wąskie czoło, dziwnie zamyślane, jak gdyby nad jedną jakąś wielką tajemnicą.

Była żoną i matką, ale tylko z rzadka widziano ją z dziećmi i wtedy pieściła się z nimi, bawiła się jak kwiatami.

Była zawsze cicha i smutna.

Nieraz tylko, rzadko bardzo, jakiś błędny uśmiech przesunął się po jej twarzy, aby znów zaniknąć w wielkim, tęsknym zamyśleniu.

Usta miała wąskie, z lekka rozchylone, jakby w jakim wiecznym pragnieniu.

Rzadko zmieniał się wyraz jej twarzy i wtedy nagle pojawiała się w jej oczach jakieś strasznie bolesne, namiętne pragnienie, i ręce jej ścisnęły się w nerwowym uścisku... Ale po chwili powieki znów zakrywały tajemniczy ogień jej duszy.

Nieraz z samego rana opuszczała dom swój i powracała późno w nocy.

Można ją było widzieć wtedy, jak przez cały dzień błądziła po polach lekkim, motylowym krokiem, rytmicznie kołysząc się. Wtedy



jej oczy nabierały dziwnego blasku i pierś jej szybciej podnosiła się.

Rozpościerała nieraz szeroko ramiona, jak gdyby chciała ogarnąć ziemię całą w swoim uścisku, i wielki, radosny uśmiech oblewał jej całą postać.

Brodziła tak po polach dniami całymi. Nieraz nagle stawała, obejmowała jakieś drzewo rękami, przytulała twarz do niego, jakaś cicha, nieświadoma łza zsuwała się po jej twarzy...

Często także cały dzień leżała u siebie na werandzie lub w ogrodzie z rękami założonymi za głowę, a oczy, podniesione w górę, goniły obłoki po bezgranicznym horyzoncie.

Gdy zima nadchodziła, siadywała przez cały dzień przy kominku, gdzie zarzyły się duże kawały drzewa i węgla, nerwowym ruchem ręki dokładała do ognia i patrzyła ze smutnym uśmiechem, jak płomienie chwytają drzewo, jak się zamienia w jeden wielki żar, aż się całe przepali, wypali i zostanie się tylko tłąca garstka popiołu...

Gdy straszny wiatr wiał na dworze i drzewa jęczały i skrzypiały w swoich najgłębszych podstawach, a dom drżał, jakby w przestraszu przed owym wielkim niszczycielem, wtedy ona się nagle zrywała i zapamiętała wybiegała tam w pole, na swobodę.

Dopiero hen gdzieś, gdzie wiatr najsilniej śpiewał swą rozszalałą pieśń, stawała i z rozkosznym uśmiechem rozglądała się wkoło: wiatr rozpuszczał jej włosy i rwał je na wszystkie strony, a ona wyciągała ręce do niego i z dzikim okrzykiem witała jego hymn.

Wicher pędził ją przez pola, przez lasy, a ona śpiewała z nim, dawała mu się targać na wszystkie strony, rozdzierała swe suknie, ażeby ją swobodniej bił, smagał.

Wreszcie, gdy ją nogi już nie niosły — padała zwykle gdzieś na zrębie lasu albo wśród pola i błędnym wzrokiem śledziła ruchy drzew kołysanych przez wiatr.

Wreszcie wstawiała i z wolna, nieprzytomnym krokiem, z oczami w dół spuszczone, wracała do domu.

Raz po takim dniu zemdląca.

Gdy noc zapadła, a jej jeszcze nie było, niepokój straszny ogarnął dom cały.

Henryk stał przy oknie i patrzył niespokojnie w dziką, rozszalałą noc.

„Asto, Asto!” — wołał jakiś głos rozpaczliwy w głębi jego duszy.

Ale Asta nie wracała, a wiatr coraz dziczej, coraz straszniej śpiewał swój straszny, wściekły hymn.

Rozpacz zaczęła targać nim, coraz silniej, coraz mocniej.

Nagle zdało mu się, że słyszy, jak go ktoś woła.

Nieprzytomny pobiegł jej szukać.

Pędził przez lasy, przez pola, po wszystkich miejscach, o których wiedział, że ukochała je najbardziej.

Wiatr wiał w przeciwną stronę i z trudem torował sobie drogę w tę dziką noc; zaledwie słabe światło półksiężyca oświetlało drżące krzaki.

Stanął wreszcie zmęczony, obszukał już wszystkie jej ulubione miejsca.

Wiatr targał jego włosy i rozwiewał połę jego ubrania na kształt dwóch wielkich czarnych skrzydeł.

Nie wiedział, gdzie jej szukać.

— Asto, Asto! — krzyczał rozpaczonym głosem.

Lecz nie było odpowiedzi.

I znowu poszedł szukać ciężkim, beznadziejnym krokiem...

Wreszcie znalazł — leżała na zrębie lasu, omdlała.

Ujrzał jej suknię na kształt jasnej plamy na czarnym tle ziemi.

Rzucił się ku niej i głosem drżącym ze strachu i radości — „Asto, Asto!” zawołał.

Otworzyła oczy i śniącym wzrokiem spojrzała na niego.

Wziął ją na ręce i zaniósł do domu.

Dostała silnej gorączki i przez kilka dni była nieprzytomna.

Powoli, powoli wracała do zdrowia.

Dwa lata temu zaczęło się to, co ludzie nazywali „wariactwem” Asty.

Było to w kilka tygodni po urodzeniu się ich drugiego dziecka. Asta, trochę jeszcze osłabiona, leżała na werandzie, przykryta długim, białym szalem, a on siedział przy niej i z bezbrzeżnie szczęśliwym uśmiechem patrzył na nią. A ona miała oczy dziwnie zmęczone, utkwione w jakiś lekki obłoczek, który się przesuwiał po ciemnobłękitnym niebie.

Nagle chwyciła go za rękę.

— Henryku! — powiedziała dziwnie sennie.

Nachylił się nad nią.

— Co ci, Asto? — spytał swym głębokim, tkliwym głosem.

A ona, jakby we śnie, ciągnęła dalej.

— Henryku, ja cię opuszczę.

On wyrwał jej swoją rękę i nieprzytomny podskoczył.

— Asto, co ty mówisz? — wykrztusił. — Asto, Asto! Słuchaj, Asto! — i w nieludzkim strachu utkwiał w nią swe oczy...

Ona się teraz całym ciałem zwróciła do niego.

— Tak, tak, opuszczę — mówiła dalej tajemniczo, patrząc się w niego, i dziwny jakiś uśmiech przemknął po jej twarzy.

Wtedy on ukląkł przy niej i wziął ją za rękę.

— Asto, Asto, opamiętaj się — mówił duszącym się od strachu głosem — przecież to nieprawda, przecież to głupstwo — i nerwowo zaczął trząść jej ręce.

Ona się nagle na wpół podniosła na szeslongu, na którym leżała, i gorączkowy rumieniec oblał jej twarz — ręce wyrwała z jego uścisku i jasnym, a błagalnym wzrokiem jąła się patrzeć na niego.

— Henryku, daj mi wypowiedzieć wszystko!

Usiadł przy niej, skłonił głowę na znak zgody i na wpół przytomnym, dziwnie sennym ruchem zakrył twarz ręką.

A ona zaczęła.

— Jestem z tobą od czterech lat. Wiesz, żeś mnie wziął z chaty morskiej jednego cudnego

słonecznego dnia. Przyszedłeś do mnie i powiedziałeś mi, że kochasz — wtedy w mojej duszy wzbudził się wielki płomień i chciałam zostać twoja. Dałam ci się zabrać i pożegnałam morze, i myślałam, że ty mi wystarczysz na zawsze. W dzień przed wyjazdem poszłam na brzeg morza i powiedziałam mu, że wyjeżdżam. Patrzyło na mnie swymi zielonawo-niebieskimi oczami długo, zagadkowo, a fale szemrały jakieś szepty niezadowolone i lizały moje stopy, jakby mnie chciały przyciągnąć do siebie. Czułam, jak wchodzę bezwiednie coraz głębiej, coraz głębiej, popychana jakąś tajemniczą siłą; dałam się nieść tak przez chwil kilka, ale wtem zbliżyła się do mnie taka wielka, wielka fala z dużymi granatowymi oczami, w koronie z białej piany na głowie, wyciągnęła do mnie swoje ręce i chciała przycisnąć do siebie — gdy nagle ujrzałam przed sobą twoją postać i ogarnął mnie strach przed tą falą, krzyknęłam głośno i jednym gwałtownym ruchem odskoczyłam w tył.

Zmęczona opowieścią, zatrzymała się na chwilę i opadła na poduszki.

On ciągle siedział nieruchomy, bez znaku życia.

Zmęczonym głosem ciągnęła dalej, a oczy znów utkwiała gdzieś daleko w niebo.

— Tyś nigdy nie wiedział, co mnie męczy, kiedym się patrzyła tęsknym wzrokiem w dal... A we mnie już dawno, dawno zaczęła się straszna tęsknica, co dusiła mnie tu w gardle, coraz bardziej, coraz straszniej... Widzisz, Henryku, ja dłużej wytrzymać nie mogę, być związana tobą i dziećmi, bo się zaduszę tu, w klatce.

I wielki rumieniec oblał ją całą.

— Henryku, puść mnie na morze!

— Asto, Asto, to pojedziemy, pojedziemy razem...

Ona się nagle tajemniczo uśmiechnęła.

— Ty przecież wcale nie wiesz, co to jest morze! — i nagle przytłumiając głos — muszę być na nim zupełnie sama, w samotnej łódce bujać po falach, niesiona to wolno, to bujnie, a w nocy, gdy księżyc zaświeci, położyć się na



dnie łodzi i słuchać rozmowy fal — opowiadają one sobie wielkie tajemnice o życiu, jakie prowadzą bez początku, o milionach lat, które widziały, o życiu bez granic, bez końca — i jeszcze bardziej przytłumiając głos, i przysuwając się do jego twarzy — wtedy ja staję się częścią tego morza, zlewam się z nimi w jedną całość, fale stają się siostrami moimi, staczają mnie łódź w namiętym uścisku i ginę w nim cała bez śladu.

I nagle objęła jego szyję i błagalnym szep-tem wyrzekła:

— Prawda, Henryku, puścisz?

On upadł przed nią na kolana i począł całować jej nogi. Oczy jego były błędne, a twarz jakby nieprzytomna od strachu i bólu.

— Asto, Asto — błagał łamiącym się głosem — nie opuszczaj!

Ona głaskała go cicho po głowie i milczała.

— Asto, zlituj się, nie opuszczaj! Zrobię wszystko, co będziesz chciała...

Ona ciągle milczała.

Wtedy on wybuchnął straszonym, gwałtownym płaczem.

Nie mogła tego słuchać — opadła sztywno na poduszki i głucho, martwo wypowiedziała: „nie opuszczę”.

Rzucił się do niej i w zapamiętałej ekstazie całował jej ręce, nogi, suknię.

Ona leżała nieruchoma.

Od tego czasu upłynęło dwa lata.

I zaczęło się to, co ludzie nazywali wariactwem Asty.

Nie rozmawiała z nim prawie nigdy, ale on był szczęśliwy, że mógł patrzeć na nią swoim spragnionym wzrokiem i od czasu do czasu słyszeć jej głęboki, melodyjny, tajemniczy głos; tylko wydawało mu się, jakby żył przez te dwa lata w jakimś innym świecie...

Aż pewnego dnia stało się.

We drzwiach jego pokoju stanęła Asta w długim, białym płaszczu i przezroczystym szalu na głowie.

— Idę — wyrzekła doń, jakby przez sen.

Chciał coś powiedzieć, ale strach go dusił.  
Podeszła do drzwi wejściowych.

Wtedy się zerwał.

— Dokąd? — wykrztusił z trudem.

Obróciła się i jej wielkie, zagadkowe oczy przez chwilę wpiły się w niego.

„Wiesz dokąd!” — było wypisane w nich ze straszną wyrazistością i stanowczością.

Wolno, cichym, majestatycznym ruchem odwróciła się i wyszła przez drzwi.

Stał jak zahipnotyzowany.

Teraz poszła przez ogród, otworzyła furtkę i zaczęła posuwać się po drodze, stając się coraz mniejsza, coraz dalsza...

— Asto, Asto! — wyrwał się straszny krzyk z jego piersi — opadł bezwładnie na krzesło.

Wiedział, że już nie wróci...

Przez małą, nadmorską wioskę, po piaszczystej drodze idzie gorączkowym, spiesznym krokiem Asta.

Przybyła tylko co<sup>58</sup> koleją.

---

<sup>58</sup>tylko co (pot.) — przed chwilą. [przypis edytorski]

Nogi nie mogą jej unieść dość szybko do brzegu. Oczy, gorączkowo utkwione w dal, szukają, czy nie mogą ujrzeć choćby kawałeczka morza. Dąży naprzód po ciężkiej, piaszczystej drodze.

Ujrzała je z dala!

Stanęła jak oniemiała, a wielkie łzy spływają po jej twarzy.

„Czy to prawda, czy to prawda” — szepcze jakby we śnie i nagle puszcza się w bieg, aby zbliżyć się do niego, aby je objąć.

I tu, przy brzegu, gdzie fale sine przybijają, rzuca się na ziemię i namiętnie zaczyna całować mokry piasek, pianę fal.

„Wracasz, wracasz!” — szepczą i całują ją, obejmują.

Wskakuje w pierwszą łódkę na brzegu i odbija.

I teraz daje się unieść grze fal.

Rzucają ją naprzód coraz głębiej, coraz głębiej w morze, a ona siada na ławeczce i przy każdym podniesieniu się łodzi krzyczy, jak małe dziecko, z radości, a fale całują ją, całują łódkę...

„Wróciłaś, wróciłaś” — krzyczy wszystko wkoło.

Zagłębia swe ręce w wodę, by przygłaskać<sup>59</sup> fale, by się dotknąć do tej wody wszechogarniającej bez początku, bez końca; jej oczy wpijają się w głąb morza i piją, wchłaniają je w siebie; wyciąga szeroko ramiona, jak gdyby chciała przytulić je do siebie, i jakieś dźwięki nadludzkiej rozkoszy wyrywają się z jej duszy.

Wtem zbliża się do niej jedna duża fala w czepku z białych koronek, jak gdyby chciała jej powiedzieć jakąś tajemnicę. Nachyla się do niej blisko, z rozpromienioną twarzą. Fala z głośnym hukem rozbija się o łódź, a woda bryzga Aście w twarz.

Z radosnym uśmiechem ją przyjmuje.

Bierze wodę w rękę i całuje ją, a słony płyn zalewa jej usta, gardło.

Lekko otrząsa głowę i radośnie, głośno się śmieje.

Potem kładzie się na dnie łódki i wyraz namaszczenia występuje na jej czoło.

---

<sup>59</sup>przygłaskać (neol.) — pogłaskać, przywabić głaskaniem. [przypis edytorski]

Zaczyna się przysłuchiwać rozmowie fal.

Wielka radość opromienia jej twarz i wielki spokój, i cisza bezgraniczna.

„Jesteś nasza” — szepcze jakaś fala — „jesteś nasza, nasza” — powtarzają chórem wszystkie fale, a tam, w oddali, inne wyciągają szyje, aby ją zobaczyć, aby się z nią przywitać.

Ona się uśmiecha do nich słodkim, łaskawym uśmiechem.

I opowiadają jej swoje stare, odwieczne bajki.

Leży zasłuchana z oczyma wlepionymi w niebo, zlewające się gdzieś z morzem, i od czasu do czasu się uśmiecha.

W jej włosach słońce załamuje swe promienie w milionach odcieni; fale drgają w jego blasku i świecą zwodniczo we wszystkich kolorach.

Nareszcie tonie gdzieś tam na zachodzie wielka, złota kula — zdaje się, jakby na morzu zapanowała na chwilę przedsenne cisza. Ona leży na dnie łodzi i śledzi chmury goniące się po niebie.

Teraz jedna duża, straszna jakby furia, cała czerwona, z twarzą naprzód wysuniętą pędzi inną mniejszą, jakiegoś rycerza...

Uśmiecha się.

A fale śpiewają: „Tyś nasza, nasza!”.

Z wolna, z wolna, znikają wszystkie chmury i niebo pokrywa się ciemnym, czarnym płaszczem.

W swoim cichym majestacie w dali zaświecił księżyc.

Głucho fale zaczynają szemrać w ciemną noc.

Plusk obijających się o łódź fal dziwnie, tajemniczo roznosi się po wielkiej przestrzeni.

Asta wstaje i rozgląda się wkoło.

Bezwiednym ruchem ręki rozpuszcza swe włosy, które spadają na ramiona na kształt długiego, złotego płaszcza.

Oczy utkwiała w księżyc, uklękła w łodzi i ręką przecina fale.

Słucha.

Śpiewają teraz chórem wielki, tajemniczy hymn.

„Jam morze — jedno, wielkie, bezgraniczne” — śpiewa jedna fala, a inne chórem powtarzają.

„Nie masz początku ani końca dla mnie” — mówi inna fala.

Asta skłania głowę i uśmiecha się do niej.

A daleko, daleko w przestrzeni rozlega się odgłos tych słów.

„We mnie wszystko wzięło swój początek i wszystko się skończy”.

„Jam źródło wszechżycia i żywioł największy, pan istnienia” — mówi patetycznym głosem wielka, czarna fala i majestatycznie rozlega się po morzu hen daleko.

„Jam źródło wszechżycia, żywioł największy, pan istnienia”.

I oczy fal zdają się patrzeć na Astę.

„Jam bezgraniczne i we mnie życie jest wszelkie” — mówi morze, a ciemne oczy fal wpijają się w nią coraz bardziej.



A ona patrzy na nie z zahipnotyzowanym uśmiechem.

„Kto chce wielkości i więzów nienawidzi, niech ze mną się złączy” — mówi teraz głośno, krzyczy całe morze.

Ona wstaje w łódce i tajemniczo rozgląda się wkoło.

I nagle wyciągają fale do niej ramiona.

„Chodź do nas!” — woła jedna, a całe morze powtarza nieustannym, coraz głośniejszym chórem — „chodź do nas!”.

Stoi i tajemniczo patrzy się na morze.

Otoczyła ramiona szalem, a ręce szeroko rozpostarła.

— Idę — mówi.

— Chodź, chodź, chodź prędzej! My się znamy — wołają coraz błagalniej fale.

Cicho, cicho zstępuje z łodzi do morza.

I teraz jest wśród nich, naprawdę wśród nich. — Liza jej suknię, docierają do ciała, całują ją...

Wykonywa<sup>60</sup> jakieś bezwiedne faliste ruchy.

„Tyś nasza — tyś nasza!”

Przez chwil kilka fale niosą ją.

Nagle staje i wyciąga ramiona, aby je objąć, przycisnąć do siebie.

Wtem rozlega się po morzu głośny, straszny śmiech:

„Tyś nasza, tyś nasza!” — krzyczy całe morze i fale zdradzieckie ciągną ją na dół, coraz niżej, coraz głębiej...

Jeszcze kilka rozpacznych, potem coraz słabszych ruchów w walce z żywiołem, pociągającym ją coraz głębiej...

Zniknęła.

Z głuchym szumem zamykają się nad nią fale.

## OSTATNI PROMIENI

— Czy jest list do mnie?

---

<sup>60</sup>*wykonywa* — dziś popr. forma: wykonuje. [przypis edytorski]

Przez lekko rozchylone drzwi wysunęła się na korytarz wąska postać bladego, młodego człowieka.

Listonosz spojrział do torby.

— Nie, panie, nic nie ma!

Cień smutku przesunął się po twarzy pytającego.

— Dziękuję! — wyrzekł cicho.

I zamknął drzwi.

Znalazł się znów w swym cichym, małym pokoiku.

Niesłyszalnym krokiem podsunął się do okna.

Ręce włożył do kieszeni, a wzrok jego bladoniebieskich, marzących oczu gonił białe płatki śniegu spadającego powoli na pokrytą już miejscami białą powłokę ziemi.

Przed jego oknem ciągnęła się długa aleja prowadząca do miasta.

Stał tak przez chwilę w zamyśleniu.

Potem wolno opuścił się w pleciony fotel, stojący przed biurkiem, przy oknie.

I dalej przypatrywał się grze dużych, białych płatków.

Podniósł oczy na ołowiane niebo.

Kilka minut siedział tak bez ruchu.

Potem westchnął, wziął jakąś książkę do ręki i zaczął przewracać kartki.

Ostatnie stronice były jeszcze nieporozcinnane.

Wziął nóż i rozcinał je wolno i automatycznie...

Odłożył książkę.

I znów zagłębił się w jakimś zamyśleniu, rysując hieroglify na kawałku papieru.

Westchnął głęboko i wstał.

Przeciągnął się.

— Więc znów nic! — powiedział nagle zmęczonym głosem.

Zaczął się przechadzać po pokoju.

Ale już po kilku chwilach zmęczony rzucił się na łóżko.

Przymrużył oczy.

Ujrzał przed sobą jakąś czerwoną płaszczyznę, której widok napełniał go jakimś dziwnie rozkosznym zmęczeniem.

Zamknął oczy.

Duża, szeroka, szarawo-stalowa przestrzeń  
— morze.

Fale w głuchej pogoni rozbijają się o jakieś  
niewidzialne brzegi.

Głucha cisza panuje.

Ale wśród tej ciszy wydaje się, jakby te fale  
szeptały między sobą jakieś niezrozumiałe sło-  
wa.

Szare, ołowiane niebo zawisło nad morzem.  
Martwa cisza.

Nagle obraz się zmienia.

Z niebiosów spada szara zasłona.

Występuje rozpaczliwa symfonia barw.

Krwawo-żółty ogień zapanowuje na dłu-  
gim, wąskim pasie.

Dalej suną się<sup>61</sup> kłębiące zielone masy, prze-  
lewające się w ciemną, szarą, groźną przestrzeń.

A tam wyżej, gdzieś za tym pasem ognia,  
zakrólowała wielka, rozwiana postać. Czerwo-  
ny jej płaszcz zaczyna się przelewać cienką tka-

---

<sup>61</sup>*sunąć się* — popr. raczej czas. niezwrotny: sunąć a. snuć się, posuwać się itp.  
[przypis edytorski]

niną na całej przestrzeni, zaczyna ją ogarniać jakimiś krwawymi płomieniami...

I zimno-stalowe morze przybrało nagle barwę szmaragdową.

Fale, przybrane w wielkie korony z piany morskiej, szepczą coraz głośniej...

Coraz więcej<sup>62</sup> wyciągają swe białe głowy i wyżej podnoszą się, jak gdyby przygotowując się do wielkiego dzieła.

Każda jakby chciała prześcignąć drugą i coraz wyżej podnosi się...

Jeden wielki akord, brzmiący przez przestwory, jeden grom.

Na chwilę morze się ucisza.

Niebo słucha osłupiałe.

A tam, spod koronek fal, wynurzają się postaci jedna za drugą, powoli, powoli...

Coraz bardziej wychylają swe chude, wynędzniałe ciała i wyciągają błagalnie swe ramiona...

---

<sup>62</sup>coraz więcej wyciągają — bł. stylistyczny; popr.: coraz bardziej (...). [przypis edytorski]

Fale nimi kołyszą w smutny rytm, z początku cicho, jak szept, jak jęk niesłyszalny, potem coraz głośniejszy, coraz natarczywiej rozlega się po bezgranicznej przestrzeni rozpaczny krzyk.

A ludzie wyrywają swe włosy w cierpieniu, kurczowo chwytają się za głowę — wszystkie mięśnie wyprężają się w jednej wielkiej walce, a nad niebiosami i morze rozlega się jedno wielkie: a! a! a! — boleści.

Wicher zawiał.

Zaczyna kołysać całym morzem.

Podnosi tłumy ludzi to w górę, to rzuca je w przepaść, chcą chwycić się czegoś, jakiegoś oparcia w rozpaczonym wysiłku, a wicher tylko rozszalały odpowiada szyderczo na ich krzyk rozpaczy.

Tu i ówdzie ginie jakaś postać w szalonym wirze...

A tam, pośrodku morza, gdzie wicher najsilniej wieje, tam gdzie najbardziej dziką pieśń śpiewa, tam na wielkiej, rozbujałej przestrzeni płynie jedno nagie, zakrwawione serce.

Jego rany szeroko rozwarte wydają się krzy-  
czeć głośniej niż pieśń wichru, przenikliwiej  
niż okrzyki rozpaczycy ludzi ginących.

Rany szeroko rozwarte wołają bolesnym gło-  
sem:

— Patrzcie, otom ja! Patrzcie na moje cier-  
pienie, a zapomnicie o swoim; patrzcie, oto ja  
cierpię, daję się wam, bierzcie!

I krzyk ten roznosi się przez przestwory...

Wiatr cichnie, patrząc w te rany sączące się,  
i fale delikatnie je liżą, jakby całując, pieszcząc.

A gdzieś w przestrzeni rozlega się jakiś bez-  
cielesny głos:

— Wyrwałem swe serce z piersi, daję je  
wam nagie, zakrwawione w bólu, bierzcie je,  
daję je wam!

Szeroko rozwarł oczy.

Ściemniło się, zimno było w pokoju.

Dreszcz go przeszył.

Pociągnął derkę, przykrył się.

I znów zagłębił się w to jedyne dręczące go  
bezustannie zamyślenie.



„I znów nic” — powtarzał głucho jakiś głos w jego głowie, niby młot uderzający raz po raz w jakieś bolące miejsce.

Dwa miesiące temu posłał.

Od sześciu tygodni znajduje się w gorączkowym oczekiwaniu.

I znów — nic.

Czemu to? Czemu?

Podnosi się na łóżku.

— Muszę, muszę — szepcze w głos.

I znów położył się.

Zmęczone westchnienie wyrywa się z jego piersi.

Kończył życie i całą rozpacz, całą rezygnację wlał w ten swój utwór.

Całą swą filozofię życiową, przepłaconą gorzkimi łzami, wszystko to, co jego serce rozdzierało od młodu, wszystkie boleści, które wpijały się w nie jak kleszcze, i tę śmiertelnie smutną rezygnację wlał w swe dzieło. I wlał w nie swe ostatnie rozdzierające pożegnanie ze światem, który opuścić musiał.

Pamiętał jeszcze dobrze chwilę przełomową w swym życiu.

Z początku, gdy mu powiedziano, że jest nieuleczalnie chory, zbuntował się z całą energią silnego jeszcze instynktu samozachowawczego.

Jeździł od lekarza do lekarza, od wód do wód i wracał zawsze z tym samym rezultatem.

Kiedyś, właśnie po powrocie od znakomitego doktora, który z początku wzruszył ramionami, a potem przepisał mu jakąś długą, ciężką kurację, usiadł tu, na tym samym plecionym fotelu przy oknie.

Widział przed sobą szeroką, ciągnącą się bez końca płaszczyznę: było to jego życie — takie głuche, szare, beznadziejne.

A nad tą wielką pustką panowało niebo ołowiane, bezbrzeżne, a na niebie zawieszona jedna groźna, czarna chmura — śmierć.

I wtedy chwyciła go po raz pierwszy ta piekąca, gorączkowa tęsknota, wyrwać się w jakikolwiek sposób z tej szarzyzny codziennego życia chorego, leczącego się człowieka.

I wtedy błysnęła mu wyzwalająca myśl.

Wylać wszystek swój ból, wylać wszystkie cierpienia, wylać swą rozpacz w jedno wielkie dzieło, przelać się w nie i zginąć w czarnej przepaści śmierci, zostawiając swą duszę skrwawioną.

Od tego czasu zupełnie się zmienił.

Całymi dniami siedział nad swym biurkiem i z rozgorączkowaną twarzą pisał.

Im więcej cierpienia przelewał w swój utwór, tym lżej stawało mu się na duszy, tym bardziej przenikał go jakiś błogi spokój.

I wlał weń swe pożegnanie życia.

Z chwilą gdy się wyrwał ten wielki, jęczący okrzyk rozpacz z jego piersi, ból jakby przeszedł.

Stał się dziwnie spokojny, gdy rozmawiano o jego chorobie, jakby go to właściwie nic a nic nie obchodziło.

Nieraz sam się nawet pytał, co on z tym wszystkim ma wspólnego, gdyż przelał całą swą istotę w coś wielkiego, wiecznego, w swe dzieło.

Długo się namyślał, któremu wydawcy zaufać<sup>63</sup> swój skarb.

Dowiadawał się o wszystkich z różnych stron. Wreszcie się zdecydował.

Była to firma nowo założona, na której czele stał młody, podobno bardzo inteligentny, człowiek.

Przejrzał jeszcze raz swój utwór. Podczas czytania coraz bardziej rozjaśniała się jego twarz.

Były to wszystkie jego myśli i bóle, było to jego pokrwawione serce, jego nagie, zranione serce, z piersi wyrwane.

Wiedział, że potrwa kilka tygodni, nim otrzyma odpowiedź.

Z początku był zupełnie spokojny. Jego dusza była przejęta wielkim oczekiwaniem, pewną nadzieją.

Nieraz wśród bezsennej nocy miewał jakieś dziwne wizje.

Widział przed sobą tłumy ludzi czołem bijących, czołgających się w prochu przed tym wielkim sercem...

---

<sup>63</sup>*zaufać swój skarb* — dziś popr.: powierzyć swój skarb. [przypis edytorski]

Widział, jak ludzie wkoło padali, ginęli, jak na ich miejsce przychodzili inni, młodzi, ale serce zakrwawione stało ciągle nieruchome w swym bolesnym majestacie.

Pokolenie za pokoleniem przychodziło do niego szukać natchnienia i pociechy, spokoju i rezygnacji. Od czasu gdy zaczął pisać swe dzieło, zerwał prawie wszystkie stosunki z przyjaciółmi i znajomymi.

Został mu się tylko jeden towarzysz lat dziecinnych, z którym łączyło go tylko życie się i jakaś instynktowna sympatia, nie żaden głęboki, przyjacielski stosunek.

Górski nawet nie wiedział nic o wysłaniu przez Henryka rękopisu i nadziejach, jakie wkładał w swój utwór.

Uczucie jakiegoś etycznego wstydu zabraniało mu odczytać Górskiemu część swego utworu, odkryć mu część duszy.

Tak przeminęły dwa miesiące od czasu wysłania rękopisu.

Pewnego rana przyszła mu myśl, że właściwie — rzecz dziwna, że nie ma jeszcze odpo-

wiedzi, tym bardziej, że nowa nakładowa księgarnia miała mało jeszcze do roboty.

Jakiś półświadomy dreszcz niepokoju po raz pierwszy go przeszył.

Ale zaraz się uspokoił.

— Głupstwo, co tam, w tych dniach musi nadejść odpowiedź.

W ostatnich czasach czuł się w ogóle gorzej.

Doktor zjawiał się teraz codziennie.

Zadawał te same pytania i często wzruszał ramionami.

Życie Henryka widocznie skłaniało się ku końcowi.

Coraz silniejsze miewał ataki bólu, które go coraz dłużej męczyły.

Ale mało go to obchodziło.

W ostatnich czasach oczy, zapatrzone w jakąś dal, nabierały jakiegoś gorączkowego blasku.

Ciągle nie było odpowiedzi.

Prawie już trzy miesiące upłynęły od chwili wysłania rękopisu.

Nie chciał, nie mógł wierzyć, że to zły znak.

Nie chciał pozwolić rozwinąć się temu gryzącemu zwątpieniu, które drzemało w tajnym zakątku jego duszy.

A jednak już trzy miesiące przeszły od owej szczęśliwej chwili, gdy z głębokim westchnieniem wysłał swój utwór!

Trzy miesiące ciągłego, gorączkowego oczekiwania...

I znów siedział pewnego dnia przy swoim biurku, wpatrzony w ciężkie, białe obłoki, sunące się po szarym niebie.

Był dżdżysty, smutny dzień.

Tylko na dachach leżały jeszcze ostatnie resztki czystego, białego śniegu.

Z bezbrzeżną melancholią wpatrywał się w nie. Jakiś wielki smutek zmieszany z dziwnym niepokojem ogarnął go nagle.

Otworzył okno. Wilgotne, smutne powietrze zawiało wielką falą do ciepłego pokoju.

Szybko zamknął okno.

Zaczął się przechadzać prędkim, nerwowym krokiem.

— Co mi się stało, co mi się stało? — pytał się zdziwiony.

Wzrok jego padł na duży, ścienny zegar.

Zbliżała się godzina przyjscia listonosza.

Usiadł przy oknie — ukrył twarz w dłoniach i zaczął rozmyślać.

Muszą, muszą mu wreszcie odesłać, dziś, jutro, napiszą do niego wspaniałe listy, list wprost dziękczynny.

Widzi go już przed sobą.

Czyta, jak we mgle, oddzielne wyrazy.

„Szczerłość niebywała, rozdzierająco prawdziwa, genialna w swej prostocie, owiana precudną poezją”.

Więcej nic nie widzi.

Nagle gwałtownie, jakby go ktoś pchnął, podskoczył.

— A gdyby nie?

Reszta myśli uwięzła mu gdzieś w mózgu.

Czoło w nadludzkim strachu i bólu ściągnęło się w setki małych zmarszczek.



— Ależ niepodobna — nie, nie!

Podniósł się i znów zaczął chodzić po pokoju.

„I będzie on żył wieki całe na ziemi, i palące bóle jego będą odżywały na nowo, i rzadki wybuch radości jego osamotnionej duszy powstanie z popiołów, i wielkie zmęczone jego myśli będą drgały w innych duszach — na wieki, na wieki”.

Zatrzymał się przy oknie.

Cichy odgłos poprzednich słów powtórzył znowu — a gdyby nie?

Zdusił tamten głos.

I znów ogarnął go pusty smutek, duszący niepokój.

Podszedł do drzwi i otworzył je na rozcież<sup>64</sup>.

Czy czasem Górski nie idzie?

Ale cicho było, tylko gdzieś na dole kłóciły się dwa kobiece głosy.

Przez chwilę przysłuchiwał się ich rozmowie. Zdawało mu się, że tu, słysząc jakieś od-

---

<sup>64</sup>na rozcież — dziś popr.: na oścież. [przypis edytorski]

głosy ludzkiego życia, będzie mu lepiej. Ale było chłodno na wschodach<sup>65</sup> i powoli zimny dreszcz przeszedł jego ciało.

Wszedł do swego pokoju i zamknął drzwi za sobą.

I znów wzrok jego padł na duży, ścienny zegar.

Już piąta godzina.

Nie przyjdzie już dzisiaj listonosz, nie przyjdzie...

Zmęczony osunął się na łóżko.

Tegoż wieczora stan jego zdrowia bardzo się pogorszył.

Górski znalazł go w silnej gorączce.

Henryk mówił ciągle o jakichś niezrozumiałych rzeczach, o jakimś krwawym sercu, o ludziach, czołem przed nim bijących...

Wkrótce zupełnie stracił przytomność.

Górski pozostał przy nim.

Usiadł w fotelu przy łóżku i jął przypatrywać się spokojnemu pozornie oddechowi.

---

<sup>65</sup>*na wschodach* — dziś popr.: na schodach. [przypis edytorski]

Lecz wkrótce zamknął zmęczone oczy, jak sam sobie wytłumaczył, tylko dlatego, że go światło raziło i — zasnął.

Po kilku godzinach obudził go jakiś głośny, straszny krzyk.

Podskoczył gwałtownie i zaspanymi oczami obejrzał się wkoło.

Chory krzyknął drugi raz przeciągłym głosem. Górski nachylił się, by lepiej usłyszeć, o co mu chodzi.

I teraz z piersi chorego wyrwał się jęk bóleści: „Stratowali serce, stratowali!”.

Potem jak gdyby się uspokoił.

Tylko twarz została boleśnie wykrzywiona.

Na drugi dzień z samego rana Górski pobiegł po doktora.

Ten przyszedł natychmiast.

Po starannym zbadaniu chorego pociągnął Górskiego w drugi kąt pokoju i powiedział na ucho:

— Każdej chwili można się spodziewać śmierci.

Chory leżał ciągle w osłupieniu, jak nieprzytomny, tylko oczy, utkwione w przestrzeń, mówiły o bolesnym zamyśleniu. Przez cały dzień trwał stan taki.

Górski kilka razy zwracał się do przyjaciela, by go wyrwać z tej dziwnej martwoty, ale Henryk nie odpowiadał.

Tak trwało do wieczora.

Nadeszła szara godzina.

Oczy Henryka skierowały się w stronę okna.

I znów tym samym martwym wyrazem przypatrywał się gęsto spadającym płatkom śniegu, pokrywającym coraz szczelniej ziemię białym, równym całunem.

Dopiero gdy Górski lampę zapalił, ożywił się trochę.

Podniósł się nieco i gorączkowym wzrokiem zaczął się przyglądać przyjacielowi.

Potem zaczęli rozmawiać ze sobą. Henryk wydawał się bardzo podniecony, był wprost wesoły. Tylko ręce ścisnęły nerwowo koldrę, przykrywającą go.

Nagle wielkie wyteżenie słuchu odmalo-  
wało się na jego twarzy.

— Cyt... — powiedział cicho, chwytając  
przyjaciela za rękę.

Usłyszał na wschodach ciężki, dobrze zna-  
ny krok listonosza.

Coraz mocniej wpijały się jego palce w dłoń  
Górskiego.

Ciężkie kroki coraz bardziej zbliżały się.

Zatrzymały się przy jakichś drzwiach.

Henryk opuścił rękę przyjaciela.

Ze zmęczonym uśmiechem opadł na po-  
duszki.

Trwało to tylko chwilę.

Podniósł się znowu i wyteżył słuch..

Znów rozległ się po korytarzu odgłos cięż-  
kich kroków.

Zapukano.

Henryk gwałtownie opadł na poduszki, jak  
nieprzytomny.

Zapukano po raz drugi:

— Proszę — wykrztusił zdławionym gło-  
sem.

Krople perlistego, zimnego potu wystąpiły na czoło chorego.

Listonosz podał mu list w szarej kopercie i wyszedł.

Przez chwilę trzymał go w drżących palcach. Nie mógł się zdecydować otworzyć go w obecności przyjaciela.

Poprosił Górskiego, aby mu przyniósł cytrynę do limonady<sup>66</sup>.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, Henryk niespokojnie rozejrzał się po pokoju.

Potem delikatnie, jakby lękając się szmeru, rozerwał kopertę.

Drżącymi palcami wyjął biały arkusz papieru.

Przez chwilę widział tylko płaszczyznę, po której tańczyły jakieś dziwaczne, czarne figury.

Energicznie podniósł się na łóżku.

Przymusił się do sztucznego spokoju. Serce jego biło w głośny, monotonny takt.

Zaczął czytać...

---

<sup>66</sup>*limonada* (daw.) — lemoniada. [przypis edytorski]

Wielki krzyk śmiertelnie zranionego zwię-  
rżenia wyrwał się z jego piersi.

Gwałtownym ruchem odrzucił papier da-  
leko.

— Nie przyjęli...

Gdy Górski wrócił, znalazł przyjaciela z mę-  
czeńską, jakby zapadłą twarzą i zapadłymi oczy-  
ma.

Przestraszony złapał Henryka za rękę.

Była ciepła i puls bił regularnie, ale bardzo  
słabo.

— Co ci? Henryku — rzekł, nachylając się  
nad nim.

Ale on milczał.

Szklany wzrok jego martwych oczu nawet  
nie skierował się na przyjaciela.

Milczał.

I przez pozostałe mu kilka godzin życia nikt  
już nie usłyszał jego głosu.

W tamtej chwili umarł.

## A JEDNAK

— Może się jednak jeszcze napijesz?...

— Nie, nie — poruszył głową i znów się opuścił w poduszki.

Ona odeszła od łóżka i z głębokim, z cichym westchnieniem postawiła szklankę na stole. Potem wróciła do chorego.

Usiadła na niskim łóżku i wzięła jego rękę w swoje dłonie.

On leżał ciągle spokojnie i obojętnie przyjmował jej pieśczoły.

Oczy miał zamknięte i dziwny, nieruchomy spokój panował na jego poóółkłej od choroby twarzy.

— Antku — nachyliła się nad jego twarzą — może ci coś zrobić, może tobie czegoś potrzeba.

W jej głosie drgała cała bezbrzeźna troska i czułość kochającej kobiety.

On teraz otworzył oczy i pełnym wzrokiem spojrział na nią.



— Nie, nie, Marto — rzekł cicho i słaby, słabiuteńki, dziwnie smutny uśmiech przesunął się po jego męczeńskiej twarzy, a ręka jego wykonała na jej dłoni lekki, bezsilny ruch pieśczoły.

I znów zamknął oczy.

— Czy nie zaśniesz trochę, Antku — zapytała, nachyliwszy się nad nim, wpatrując się w niego stroskany wzrokiem.

— Nie, nie — i teraz szeroko otworzył oczy i chwycił się gorączkowo jej dłoni — tylko nie odchodź, nie odchodź!!

Głaskała jego ręce i jęła go uspakajać.

— Nie, nie, nie odejdę; przecież ja tylko myślałam, że może tobie będzie lepiej, jeśli trochę zaśniesz, wszak tyś od trzech dni oka nie zmrużył... Antku, Antku, — i, nagle opuszczając rękę, oparła łokcie o kolana, ukryła twarz w dłoniach i zmienionym, nieprzytomnym głosem, szeptem prawie rzekła — Boże, co to będzie, co to będzie?!

A on znów zamknął oczy i jedna duża łza przesunęła się po jego policzku.

— Śmierć — wyrzekł nieskończenie smutno.

Wtedy ona się zerwała, nachyliła się nad nim i rozpaczonym głosem zaczęła krzyczeć, trzęsąc go nerwowo za ramiona.

— Ja nie chcę, żebyś to mówił, ja nie chcę, żebyś o tym myślał. To nieprawda, oni kłamią, oni kłamią.

I nagle, całym ciężarem spadając na ziemię, wybuchła długim, beznadziejnym płaczem.

On ciągle leżał nieruchomy i martwym, a jednak groźnym wzrokiem wpatrywał się gdzieś, w jakąś dal...

Wreszcie wstała. Odgarnęła wolnym, nieprzytomnym ruchem włosy w tył, które spadły jej na czoło, westchnęła głośno, głęboko, jakby nieświadomie, i podeszła automatycznie do okna. Machinalnie jęła się przypatrywać ludziom na dworze. Zdolność cierpienia wyczerpała się. Straszny płacz z głębi serca, jakby chwilowo zabrał ze sobą cały ból, całą rozpacz bezdenną.

Stała tak chwil kilka.

Chory ciągle leżał cichy, nieruchomy.

Wszedł doktor. Teraz dopiero oprzytomniała. Przywitał się z nią z daleka skinieniem głowy i podszedł do chorego.

Usiadł na krześle przy łóżku i ujął chorego za puls. Chory ciągle milczał.

A ona z drugiego kąta pokoju śledziła tępyym ze strachu wzrokiem każdy ruch doktora, każdą najmniejszą zmianę w jego twarzy...

Doktor opuścił nareszcie rękę.

— A cóż, jakże się spało, a jak apetyt? — spytał typowym doktorskim zdaniem.

Chory spojrział na niego nienawistnym wzrokiem.

— Przecież doktor wie doskonale, że ani jadam, ani sypiam — rzekł pełnym gorzycy głosem i odwrócił się do ściany.

Doktor wzruszył ramionami, spojrział jeszcze raz na chorego i skierował swe kroki ku wyjściu.

Marta poszła za nim.

Stali teraz razem w mrocznym przedpokoju, gdzie miało być wyrzeczone słowo wyroku śmierci. Ścisnęła ją coś za gardło i słowa nie mogła wypowiedzieć. Te ściany szare i ten doktor ze swoją zimną, oficjalną miną, z kapeluszem w ręku, już gotów do wyjścia, wydawał jej się czymś tajemniczo okrutnym, nieubłagany. Wielki dreszcz strachu przeszył jej ciało. Teraz podał jej rękę na pożegnanie. Machinalnie podała mu swoją, wpatrując się w niego zboląłym, pytającym wzrokiem.

Teraz chwycił za klamkę. Opamiętała się.

— Doktorze, doktorze — krzyknęła przytłumionym głosem — powiedz, doktorze, przecież jeszcze jest nadzieja. — I palce jej kurczowo wpiły się w jego rękę.

— Czy pani powie wszystko? — spytał ją zimno, urzędowo.

— Całą — wyszeptała, ciężko oddychając, i oparła się całym ciałem o ścianę, a ręce przyciskały się nerwowo do muru.

Wiedziała już teraz naprzód, co powie.

I wypowiedział.

Wróciła do pokoju sennym, nieprzytomnym krokiem.

Opadła ciężko na krzesło i ukryła twarz w jedną rękę, a druga zwisała bezwładnie. Zapomniała o obecności chorego, o tym, że trzeba go uspokajać, udawać, że to wszystko drobnostka, że to przejdzie...

Nagle usłyszała głuchy jęk.

Zerwała się i pobiegła do łóżka.

Chory siedział na nim z nogami spuszczo-  
nymi na podłogę, z rękoma sztywno wycią-  
gniętymi przed siebie, z oczyma nieprzytom-  
nymi ze strachu.

— Antku, Antku — krzyknęła i uklękła przy nim. — Antku, Antku, co ci jest? — I w okropnym niepokoju chwyciła go za rękę.

A on nagle krzyknął strasznym, przeciągłym głosem.

— Antku, Antku, co ci jest? — I głaskała w nadludzkim strachu jego ręce i nogi.

Ten siedział cichy, nieruchomy, z oczyma tępo utkwionymi w dal, strasznymi...

Wzięła go w swe ramiona i położyła na łóżku.

Teraz chory westchnął cicho, głęboko.

— Antku, powiedz kochanie, co ci było?  
— spytała drżącym ze wzruszenia głosem i nachyliła się nad nim, głaszcząc jego czoło. — Co ci było, co ci było?

A on spojrzał na nią nieprzytomnie, błędnie.

— Ujrzałem śmierć — powiedział głucho.

I teraz dopiero przypomniało jej się, że podczas rozmowy z doktorem usłyszała w przyległym pokoju jakiś szmer, jakby od wolnych, ostrożnie wlokących się kroków.

Z nadludzkim wysiłkiem chory dowlóknął się do drzwi, aby usłyszeć całą prawdę — wyrok.

Teraz już nie było czego skrywać.

Stała przed nimi obojgiem, wyraźnie i rozpaczliwie blisko, czarna postać śmierci. Wiedzieli, że dziś, najpóźniej jutro, dokona swego dzieła.

Marta nieruchomo przez długi czas siedziała obok chorego, trzymała tylko ciągle jego rękę i od czasu do czasu kurczowo ścisnęła ją.

Nastąpił duszny okres rozpaczliwej apatii.

Długo, długo leżał nieruchomy. Pod wieczór wyciągnął rękę z jej dłoni i z lekka odwrócił się do ściany.

Myślała, że chce spać.

Odeszła na chwilę do okna. Patrzyła machinalnie szklanym wzrokiem na ulicę.

Przed szpitalem stanął powóz.

Jęła mu się bezmyślnie przypatrywać.

Wzrok jej ślizgał się nieświadomie po koniu, stangrecie, czarnym lakierze powozu...

Teraz wyszedł ktoś z bramy i podszedł do powozu. Otworzył drzwiczki i stanął na stopniu. Potem zszedł, wrócił znów do szpitala i teraz wyprowadził ostrożnie wolno posuwającego się młodego człowieka...

— Zdrów — pomyślała Marta i wielka fala goryczy wcisnęła jej się do gardła.

I nagle miała jakby wizję.

Zdawało jej się, że ten powóz to na nich czeka, że ten młody człowiek na dole — to Antek, że zaraz pojedą, opuszczą te ponure mury na zawsze, że będą zdrowi, szczęśliwi...

— Marto! — usłyszała nagle dziwny, chrapliwy i przestraszony głos chorego.

Oprzytomniała. Westchnęła głęboko i poszła do chorego.

On siedział teraz sztywno na łóżku.

— Antku — wyrzekła cicho i czule — tobie tak niedobrze, połóż się lepiej. — I ostrożnym, troskliwym ruchem chciała go wcisnąć w poduszki.

Ale on ją odepchnął niemym ruchem ręki.

Usiadła na krześle i położyła głowę na stół.

Nagle ogarnęła ją ze straszną jasnością cała świadomość jej bezdennego nieszczęścia.

Głuchy jęk wydarł się z jej piersi, a ręce ścisnęły się kurczowo.

— Boże święty, Boże święty! — wyszeptała machinalnie.

Potem nagle przerwała.



Była niewierząca. Należeli oni oboje do wielkiej gminy ludzi bez religii.

Teraz ujrzała przed oczami straszny obraz: widziała trup<sup>67</sup> jakiś na pół zgniły, ale jeszcze do rozpoznania, w którym gnieździły się robaki, po jednej połowie nosa zgniłej pełzało robactwo i wślaziło w usta, wykrzywione jakby od bólu i wstrętu, tylko oczy jeszcze całe patrzyły ze straszną, martwą zgrozą w nią, prosto w nią.

— Antku! — krzyknęła rozdzierającym głosem i jednym gwałtownym ruchem znalazła się przy nim, i wzrok nieprzytomny od strachu utkwiała w niego.

A on wciąż siedział jakby martwy.

Potem nagle się położył. Westchnął raz niezmiernie, nieskończenie smutno.

— Marto — wyrzekł teraz spokojnym, łagodnym głosem — przeczytaj mi kilka stronnic mojej ostatniej pracy: *O nowych teoriach naukowych i ich stosunku do metafizyki*.

---

<sup>67</sup>widziała trup jakiś na pół zgniły — dziś popr. z B.: (...) trupa jakiegoś na pół zgniłego. [przypis edytorski]

Był przyrodnikiem-filozofem, zapalonym, fanatycznym.

Wstała i przyniosła grubą książkę w brązowej oprawie.

Chciała ją otworzyć, ale chory wziął ją w ręce i głaskał ją czule, delikatnie, z roztkliwieniem.

— To wszystko, co się po mnie zostanie — wyszeptał i odwrócił się do ściany, aby ukryć łzę, która z wolna ściekała mu po policzku.

Oddał jej książkę.

— Co czytać? — spytała, przerzucając kartki.

Przez chwilę jakby walczył ze sobą, potem głęboko i głośno westchnął.

— Czytaj tam, gdzie mówię o zabójczym wpływie ostatnich teorii na ideę życia pozagro... — i nagle urwał.

Zaczęła czytać.

— Wielki rozwój chemii, zarówno jak darwinizm, zadały cios śmiertelny wszelkim wierzeniom w życie pozagrobowe. Darwinizm, odbierając człowiekowi wyższość absolutną nad

zwierzętami, widząc w nim tylko zwierzę bardziej udoskonalone pod względem rozwojowym, przez to samo obala teorię o duszy człowieka. Łączy on całą przyrodę w jedną wielką całość, podczas gdy stara metafizyka rozrywała ją na duszę i ciało. Obala ona zatem wszystkie nadzieje dobrych mnichów i mniszek w wynagrodzenie po śmierci, we wspólne pożycie na polach elizejskich, stawiając nam przed oczy jako jedyne żyjące materię i tylko materię. Z drugiej strony badania chemiczne jasno nam pokazują, że z zanikiem tej lub owej formy istnienia, to jest ze śmiercią pewnego jestestwa rozpoczyna się rozkład i przez to samo się rozumie, że ta fikcyjna całość, którą przedstawia jednostka, przestaje istnieć, podlegając odwiecznym prawom przyrody. Teorie te druzgoczą więc nieubłagalnie<sup>68</sup> wszelkie nadzieje...

— Marto — przerwał nagle chory ochrypłym głosem i krople zimnego potu wystąpiły mu na czoło, a oczy z błędnym niepokojem wpatrywały się w nią — przestań, Marto!

---

<sup>68</sup>*nieubłagalnie* — nieubłaganie. [przypis edytorski]

Odłożyła książkę, nachyliła się nad jego twarzą i niezmiernie tkliwym wzrokiem jąła się wpatrywać w niego.

— Nie, nie! — krzyknęła nagle głośno, przekonywająco, obiema rękami objęła go za szyję i przytuliła się do niego.

Wielkie łzy toczyły się po twarzy chorego. Wziął jej rękę i cicho, cicho przycisnął ją do ust.

Ona zerwała się nagle — nie mogła usiedzieć dłużej tak spokojnie.

Zacząła chodzić nerwowym krokiem po pokoju. Wszystko dokoła niej zaczęło tańczyć, zaczęło się układać w jakieś dziwaczne figury: nogi stołu, krzesel stały się dziwnie luźne, giętke, wykonywały jakieś dziwnie skaczące ruchy.

Coraz prędzej, coraz szybciej tańczyło wkoło niej wszystko, w takt jakiejś coraz dziwniejszej melodii, coraz straszniejsze kształty przybierało!...

— Jezus, Maria! — krzyknęła nagle i opadła na kanapę.

A chory w swoim łóżku znów sztywno usiadł i teraz głosem przeciągłym krzyknął:

— Boże!

Dostał znów ataku swego śmiertelnego bólu.

Podbiegła do niego, dała mu lekarstwa i zrobiła zimny okład...

Bezsilny teraz zupełnie leżał w poduszkach z oczyma zamkniętymi, z rękoma bezwładnie opuszczonymi na kołdrę.

Długo siedziała obok niego milcząca.

Patrzyła się teraz zupełnie obco, nieprzytomnie na niego.

Wydało jej się wszystko tak nieprawdopodobne, dalekie.

Zupełnie zimno i obiektywnie przypatrywała się teraz jego głębokim sińcom pod oczami i zauważyła zupełnie obojętnie, że już jest podobny do trupa.

Nagle wróciła jej świadomość.

— Ja chyba zwariuję, chyba zwariuję! — szepnęła i złapała się za swoją ciężką jak kamień głowę.

Wtem chory otworzył oczy.

— Marto! — zaszeptał ledwie dosłyszalnie.

— Chodź tu!

Zbliżyła się do jego twarzy.

— Jeszcze bliżej! — Tak, tak!...

Teraz podniósł się trochę na swoim łożu i tym samym głosem szepnął:

— Marto, słuchaj! — Tu odepchnął ją od siebie i wybuchnął przeciągłym płaczem.

— Ja nie chcę umrzeć, nie chcę umrzeć!  
— krzyczał nieprzytomny.

Całowała jego włosy, jego ręce, milcząc ze strasznego wzruszenia, i łzy ich rozpaczne mieszały się.

Znów opadł, jakby martwy, na poduszki.

Teraz otworzył szeroko oczy, złapał ją za rękę.

— Marto — wyrzekł ochryplym głosem, wpijając swoje palce w jej rękę — Marto, powiedz, że to nieprawda!...

— Co? — nachyliła się nad jego ustami.

I nagle blady rumieniec oblał twarz chorego.

— Że jed-nak istnie-je ży-cie po-za-gro-bo... — szepnął nieśmiało, urywczo, ledwie dosłyszalnym głosem i, jakby zawstydzony, odwrócił się do ściany.

Wyciągnęła swoją rękę z jego uścisku i tępo jęła się wpatrywać w podłogę.

Niezdolna była do kłamstwa.

A chory znów się zwrócił do niej.

— Marto! — Złapał ją za rękę i gorączkowym przypiływem siły zaczął nią trząść. — Marto! — krzyczał — ja chcę...

I podniósł się na wpół w łóżku i wpatrywał się w nią strasznym wzrokiem: — „ja chcę...”.

Schwycił ją za drugą rękę i jeszcze gwałtowniej, jeszcze bardziej gorączkowo trzął nią.

— Ja żądam, żebyś powiedziała, żeśmy kłamali, słyszysz? Żeśmy kłamali... — i, jeszcze bliżej podsuwając się do niej — Ja tego żądam od ciebie, słyszysz?!

Mimo woli odsunęła się od niego przestraszona jego groźnym, strasznym wyrazem twarzy.

Energia opuściła go i znów bezwładnie opadł w poduszki.

Ona zaś siedziała ciągle martwa, niezdolna do myśli, niezdolna do czucia.

Wtem usłyszała znów cichy, żałosny jęk. Teraz otworzył oczy, oczy błagalne dziecka chorego.

I nagle złożył ręce, jakby do modlitwy, i szepnął rozpaczonym, ledwie dosłyszalnym głosem, łkając prawie.

— Boże, daj mi żyć — daj mi żyć...

Przez chwilę miała wrażenie, jakby musiała oderwać jego ręce od upokarzającej czynności, wyrwać te myśli z jego mózgu, zamknąć jego usta.

Ale i ona była przy końcu sił fizycznych i moralnych.

Chory znów zajęczał.

— Marto! Prawda, żeśmy kłamali, prawda?!... — i wił się na swym łóżku jakby w strachu śmiertelnym.

— A nasze dzieło tylu walk duchowych? — szepnęła duszącym się głosem.



Wykonał niecierpliwy ruch ręką, jakby chcąc odpędzić tamtą myśl.

— Nieprawda — szepnął — nieprawda?

I teraz pełnym błagalnym wzrokiem spojrział na nią:

— Zlituj się, powiedz, że nieprawda.

— Nieprawda, nieprawda! — krzyknęła nieprzytomna, rzucając się ze strasznym łkaniem na niego, tuląc go do siebie w kurczowym uścisku. — Nieprawda, nieprawda!...

Wszedł doktor.

I teraz chory jakimś błędnym, a jednak niespokojnym wzrokiem, spojrział na niego.

— Doktorze — wyciągnął rękę błagalnym ruchem do niego — prawda, że kłamałem przez życie — że — będę żył po śmierci...

— Ale co znowu o takich rzeczach myśleć — powiedział doktor, nachylając się nad chorym, wzięwszy go za puls.

Chory gwałtownym ruchem odepchnął jego rękę.

Doktor spojrział jeszcze raz na niego, wzruszył ramionami i wyszedł.

Nie miał już tu nic do roboty.

Chory nagle gwałtownym ruchem odepchnął Martę od siebie i straszne rżenie wyrwało się z jego piersi.

Zaczęła się agonia.

## ŚMIERĆ

Szedł nad brzegiem rzeki, oświetlonej blaskiem umierającego słońca.

Głowę podniósł do góry, ręce włożył do kieszeni i szedł tak wolnym, bujającym krokiem.

Lekki, letni wiaterek igrał jego włosami i rozwiewał je na kształt długich, złotawych pasm...

Szedł przed siebie zamyślony.

Był rzeźbiarzem i od kilku dni laureatem X-skiej akademii.

Stał się od tej chwili przedmiotem zazdrości koleżeńskiej, zaszczytu X-skich dam, przed-

miotem uwagi ogólnej, krytyk szczegółowych, sprzeczek artystyczno-psychologicznych.

Ale on szedł jakby ponad tym wszystkim, z dumną, majestatyczną twarzą, jak gdyby oni i sława dla niego nie istnieli, a żyło tylko dzieło, w które został wpatrzony.

Była to śmierć.

Cała rzeźba przedstawiała kulę ziemską, targaną przez kobietę — heterę<sup>69</sup> — w zmysłowym uścisku wpijających się palców.

Bezbrinnie, biernie, cierpiąco, w niemym smutku, wyglądała ta miękka bryła ziemi w kurczowo ściśniętych rękach swojej władczyni. A ta, królując nad nią, wpijała się w nią z wyrazem ohydnej, brutalnej rozkoszy, gwałcącej ziemię.

A ziemia zdawała się jęczeć pod zadaniem jej gwałtem i szeroko rozwarła swe oczy, jakby w nadludzkiej męce, oczy bezbronne, zrezygnowane. A hetera się śmiała, wciskając w nią coraz bardziej swoje palce, coraz głębiej, a z ust

---

<sup>69</sup>*hetera* (gr. *ἑταίρα*: towarzyszką) — kurtyzana w staroż. Grecji; heterami były niezależne społecznie, wykształcone kobiety o wysokiej kulturze; tu: kobieta demoniczna, erotycznie wyemancypowana. [przypis edytorski]

jej rozlegał się jakby głośny, szyderczy śmiech wszechwładnej mocy.

Kiedyś, stojąc w nocy nad tą samą rzeką, przysłuchując się głuchemu pluskowi fal, wpatrzony w czarne kontury stojących w nieruchomym spokoju drzew, ujrzał ją po raz pierwszy przed sobą, usłyszał dziki jej śmiech tuż, tuż nad swoim uchem...

I wtedy odwrócił się i zaczął pędzić, sam nie wiedząc dlaczego, do swego domu, do swojej pracowni.

Coraz prędzej, coraz prędzej — jak gdyby go coś goniło — pędziło przed siebie...

Stanął w pracowni cały zdyszany. Zamknął pośpiesznie drzwi na klucz i przestraszonym wzrokiem obejrzał się wkoło.

Wtedy znów tuż, tuż nad swoim uchem usłyszał jej dziki śmiech, jej ryk...

Wtedy to... stworzył ją.

Przez kilka dni zamykał się w swojej pracowni, nie wpuszczał nikogo i nigdzie nie wychodził.

Towarzyszyła mu ciągle Śmierć ze swoim piekielnym śmiechem.

Nieraz zatrzymywał się wśród pracy i przeciągły jęk wyrywał mu się z piersi.

Szczerłość wizji strasznie przygniatała jego istotę.

Wyciągała, jakby z najgłębszych tajników jego duszy, dawno tam drzemiący, olbrzymi strach przed unicestwieniem.

Nieraz tak odpoczywając, chwilowo odczuwał gwałtowną chęć rzucić to wszystko, uwolnić się od tej przygniatającej wizji, ale po upływie kilku sekund zaledwie brał się znów do dłuta i pracował, jakby pod jakimś wewnętrznym, tajemniczym przymusem. Pracował półświadomie, chwilami automatycznie.

Wreszcie skończył.

Stała przed nim w swojej całej strasznej, nagiej prawdzie. Wyszedł wtedy z domu i chwiejnym krokiem zaczął się przechadzać wzdłuż rzeki.

Starął się, przyglądając się na ulicy ludziom, łódkom na wodzie, całemu temu falującemu wokół życia — zapomnieć o niej.

Ale ona była ciągle przy nim. Odsunęła się tylko jakby za lekką zasłonę.

A spoza tej zasłony wyglądała z wykrzywioną zalotnie twarzą i śmiała się przytłumionym, szyderczym śmiechem, patrząc się w niego swym hipnotyzującym wzrokiem.

Wszedł do pierwszej spotkanej karczmy, aby zagłuszyć ten jej śmiech, aby już nie widzieć jej oczu...

Ale ona wyzierała mu z twarzy półprzytomnych alkoholików, ona witała go w postaci gospodyni, kościotrupa siwego i jej córki, usługującej gościom z lubieżnie wykrzywioną twarzą. Jej śmiech odzywał mu się w brzęku szklanek, w bełkocie pijanych i w ich grubym śmiechu...

Wyszedł wtedy zniechęcony na ulicę i jał<sup>70</sup> się posuwać spieszonym krokiem naprzód.

Automatycznie wrócił do swego domu.

---

<sup>70</sup>jać (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

Ale przed drzwiami stanął nagle niezdecydowany.

Bał się, wiedział, że gdy wejdzie, spotka go z dzikim, triumfującym śmiechem i wpije się weń swymi oczyma, przebije go całego — zabije...

Westchnął głęboko.

Potem nagle gwałtownie odepchnął drzwi.

Wszedł do ciemnej zupełnie pracowni.

Chciał precyzyjnie się, jak złodziej, koło swego dzieła i po ciemku rzucić się na tapczan, służący mu za łóżko, wcisnąć swe oczy w poduszkę, aby jej nie widzieć więcej.

Zamknął ostrożnie drzwi i cicho, na palcach, jak gdyby nie chcąc jej zbudzić ze snu, zbliżył się do swego łóżka. Ciężko opuścił się na nie.

Zamknął oczy i ukrył twarz w poduszkę...

Ale teraz ona cicho, cichutko wstała i posuwając się naprzód na palcach zbliżyła się do niego, i usiadła przy nim na tapczanie tuż, tuż przy głowie.

Wolnym ruchem podniosła rękę i, wpatrując się w niego swym złym, szyderczym wzrokiem, rozszerzyła palce, by lepiej wpić się w jego ciało...

Teraz zbliżyła je do szyi.

Uczuł jej dotknięcie zimne, śliskie...

Gwałtownym ruchem podskoczył i osłupiałymi ze strachu oczyma obejrzał się.

Powoli rozpoznał w ciemności pokoju kontury śmierci.

Drżącymi palcami zapalił lampę i chwiejnym krokiem podszedł do niej.

Siedziała na swoim miejscu, na bryle ziemskiej i targała ją w namiętym uścisku.

Przez chwilę patrzył na nią wzrokiem pełnym jakby jakiegoś niemego wyrzutu.

Wreszcie odwrócił się z wolna, jakby w somnambulicznym stanie, i chwycił dużą, płócienną płachtę, leżącą na ziemi obok niego.

Prędko zarzucił ją na swoje dzieło.

— Śpij teraz — powiedział błędnie przez zęby — już mnie teraz nie będziesz męczyła,



ty... — i triumfujący, jakby nienawistny, uśmiech przesunął się po jego twarzy.

Ułożył się znowu na spoczynek.

Na drugi dzień z rana prędko się ubrał i uciekł z pracowni, nie spojrzawszy na swoje dzieło.

Poleciał do przyjaciela lat dzieciennych i poprosił go zająć się<sup>71</sup> oddaniem jego pracy na konkurs akademii, tylko w celu uwolnienia się od jej obecności.

Sam na kilka dni, potrzebnych na przygotowanie, przeniósł się do zaprzyjaźnionej z nim rodziny, zamieszkałej w tym samym mieście...

Od tego czasu przeszło dziesięć dni.

Konkurs się odbył z doskonałym rezultatem dla niego.

Ale jeden blady uśmiech zaledwie na wieść o nagrodzie przesunął się po jego twarzy, aby znów zaniknąć w wielkim, głuchym milczeniu.

---

<sup>71</sup>*poprosił go zająć się oddaniem jego pracy* — konstrukcja gramatyczna charakterystyczna dla autorki; popr. raczej: poprosił go, by zajął się (...). [przypis edytorski]

Ciągle jeszcze mieszkał u swoich znajomych, bał się wrócić do pracowni, przypominającej mu śmierć.

I teraz szedł z głową podniesioną w górę i wsłuchiwał się w ciche szemranie wody, a oczy ściagały kąpiące się w złocie obłoki.

Wolno i majestatycznie spuszczała się złota kula słońca ku zachodowi.

Stanął na chwilę, by wchłonąć w siebie ten smutny nastrój wieczorny.

Nagle usłyszał nad uchem leciutki jak powiew wiatru, ironiczny śmiech.

Poznał go doskonale.

Tchnął on melodią śmierci.

Pospiesznie wrócił do domu.

Od czasu, gdy ją po raz pierwszy zobaczył, chodził jak senny, półprzytomny.

Nieraz z jego piersi wyrywał się jakiś długi, spazmatyczny śmiech.

Przestraszonymi oczyma patrzyli nań przyjaciele, którzy go znali od dawna.

Zdziwiony ich wzrok pytał w zakłopotaniu:

— Co ci jest, co ci się stało?

On nie odpowiadał.

Nie byliby<sup>72</sup> go zrozumieli.

A ona go nie opuszczała.

Ciągle widział ją przy sobie. Wydawało mu się, że wygląda ze wszystkich przedmiotów, ze wszystkich postaci.

Dźwięczała mu w śmiechu dzieciennym, w słowach wesołych, w świergotaniu ptaków, w pluku wód.

Jedna jedyna myśl, jeden strach wielki zapanował w jego duszy, jedno ciemne błaganie *memento mori*<sup>73</sup>.

Siadł milcząc do kolacji.

Był obecny jakiś gość, jego daleki znajomy, przyjaciel gospodarza domu.

Zaraz po przywitaniu zaczęła się rozmowa — o jego dziele.

---

<sup>72</sup>*nie byliby go zrozumieli* — daw. konstrukcja czasu zaprzeczonego. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>*memento mori* (łac.) — pamiętaj o śmierci. [przypis edytorski]

Darmo utkwiał błagający wzrok w panią domu, oczekując od niej subtelności i intuicji kobiecej, spodziewając się, że ona go zrozumie i przerwie tę rozmowę, która była dlań istną torturą.

Ale nie został zrozumiany. Uśmiechnęła się tylko doń uprzejmie.

— I widzisz, mój drogi — ciągnął gospodarz — w taki sposób staliśmy się nagle mecenasami sztuki. I kto by myślał, że to Andrzej artysta takiej miary. No, no, nie obrażaj się — zwrócił się teraz do rzeźbiarza — ale takie genialne dzieło — kto by to przypuszczał! Przecież to taka prawda, taka szczerłość, że aż, mówię, przejmuje człowieka, gdy to widzi...

— Tak panie — zwrócił się teraz gość do Andrzeja — przecież to taka wizjonerska prawda, jak gdyby sama śmierć była się ukazała panu i opowiedziała mu o swej strasznej mocy. Jakim to szczęściem musi być stworzyć takie dzieło — dodał z westchnieniem.

Po bladej twarzy Andrzeja przesunął się teraz wolny, ironiczny uśmiech.

— Szczęście — powtórzył cicho.

I nagle wybuchnął głośnym, spazmatycznym śmiechem.

— Co ci jest, co ci jest? — usłyszał, jakby przez sen, głos swoich przyjaciół.

Uspokoił się.

I dalej ciągnęła się ta rozmowa.

— Może pan będzie łaskaw powiedzieć — ciągnął znów delikatny gość — jak panu po raz pierwszy przyszła myśl stworzenia tego dzieła...

— A tak, tak — powtórzyła pani.

Andrzej nagle się zerwał i, nie powiedziawszy słowa, opuścił pokój.

Nie mógł dłużej wytrzymać tej męki. Nie mógł wyrwać swego zakrwawionego serca z piersi i rzucić je tamtym filistrom przed ciekawe oczy.

Wolnym krokiem przeszedł przez ciemny, cichy ogród.

Doszedłszy do rzeki, począł pędzić wzdłuż jej brzegów.

Wiatr wiał mu przez włosy i opierał się jego krokom, ale on całą siłą walczył z nim.

Ta fizyczna praca sprawiła mu jakby pewną ulgę.

Wreszcie zmęczony stanął nad czarną głębiną wody.

Z pustym, głośnym łoskotem rozbijały się teraz fale o brzegi.

Ciemna, bezdenna wydawała się woda: tajemnicza a straszna.

Plusk jej brzmiał głucho i żałośnie, bezładnie i fatalnie.

— U, u, u, u! — nuciły fale w cichy takt.

Ogarnął go nagle wielki strach.

Odsunął się o kilka kroków dalej. Wzrok teraz utkwiał w księżyc, który w otoczeniu zielonawo-złotawych obłoków panował na ciemnym niebie.

Głupie, nieme oczy księżycy wpatrywały się jakby głucho w młodego rzeźbiarza.

Nagle się odwrócił i nieprzytomnym krokiem jał pędzić przed siebie.

Ujrzał wyraźnie wydłużoną, jakby rozwianą, postać śmierci, wyłamującą się ze srebrzystych obłoków.

Teraz czuł, jak coraz bardziej wyciągała swoje ramiona. Widział to, nie patrząc się na niebo.

Teraz jej postać rosła, rosła i ręce wyciągały się coraz bardziej na niebie, aż objęły, otoczyły cały wszechświat, który się wił w jej uścisku.

I teraz usłyszał straszny, szyderczy śmiech, którego odgłos rozlegał się przez przestworze.

I coraz głośniejszy zdał mu się ten śmiech, coraz bliższy jego ucha...

Pędził przed siebie jak wściekły. Cały obla-ny zimnym potem, stanął przed drzwiami swojej pracowni.

Musiał być sam ze sobą.

Wsunął klucz do zamka i odchylił drzwi.

Ale po pierwszym kroku upadł jak nieżywy na ziemię.

W księżycowym blasku, wpijając w niego swoje straszne oczy, stała ona.

Tego samego dnia bez jego wiedzy przywieźli ją z akademii.

Kilka minut leżał jak nieprzytomny.

Potem wolnym, machinalnym ruchem, podniósł się i błędnym wzrokiem objął swoje dzieło.

Wyraz strasznej nienawiści wykrzywił wszystkie mięśnie jego twarzy. Ręce ścisnęły się w pięść.

— Ty, ty, ty! — krzyczy nagle nieprzytomnie zdławionym głosem i trzęsie pięścią przed jej twarzą. — Ty... — tu urywa.

Stoi przed nią w groźnej postawie, oświetlony drżącym światłem księżyca, całującego jego złotawe włosy.

A potem błagalnie, zarzucając ręce na twarz, przemawia:

— Tak mnie męczysz — tak mnie męczysz — zabijasz mnie! — I znów odrywa ręce od twarzy.

— Zabijasz, słyszysz? — krzyczy, zbliżając się do niej. — Zabijasz swą ciągłą obecnością, zabijasz swym śmiechem.

Zbliżył się teraz zupełnie do niej, a rękę podniósł groźnie, tak, że się teraz prawie dotyka jej wstrętnej twarzy.



Jej oczy zupełnie wyraźnie skierowały się w niego.

— Tyś mój na wieki — mówi z wściekłą zawziętością, wpijając się weń coraz bardziej.

Nagle ogarnia go dzika rozpacz.

Przechyla się w tył i wybucha spazmatycznym śmiechem.

— Twój — twój — mówi — ha, ha ha! — to zobaczymy — i gwałtownie zbliża się do niej i znów wyciąga pięść.

— O, ty, ty, ty — mówi cicho, szeptem prawie, a w jego głosie drży cała przytłumiona nienawiść dla swego dzieła-tyrana...

A jej piekielnie szyderczy wzrok przeszywa jego ciało, jego kości...

Teraz zbliżył się jeszcze bardziej do niej. W jego oczach iskrzy się błysk zwierzęcej, niespętanej nienawiści.

Jest w nim coś ze wzroku pantery, rzucającej się na swą ofiarę.

— Twój na wieki! — syczy przez zęby i wybucha nagle triumfującym śmiechem. — Ha, ha, ha! A to masz!

I gwałtownym ruchem jego pięść uderzyła w rzeźbę, która pada z głuchym łoskotem, rozpadając się na białe, martwe kawały, które rozlatują się po ciemnej podłodze.

Stoi i patrzy nieprzytomnym wzrokiem na swoje dzieło. Nie może pojąć, co uczynił.

Ręce sztywno zawisły w powietrzu.

Głęboko westchnął i siada na ziemi przy swoim zniszczonym dziele.

Patrzy tępo na ruiny.

Nagle się wzdrygnął.

W kącie pokoju spostrzegł tułów śmierci, oddzielony od kuli ziemskiej, ale wpijający się jeszcze z tym samym wyrazem wściekłej rozkoszy w odłamek bryły, który się został między jej palcami.

Wstaje i zbliża się do niej sennym wzrokiem.

Teraz stoi przed nią i długo wpatruje się w jej twarz...

I teraz zda mu się, że w oczach hetery przez chwilę zabłyśł jakby żal jelenia zranionego do swego zabójcy.

Ale nie — to było tylko złudzenie.

— Może ją zabić do reszty? — przemigotało mu przez myśl.

Podnosi wolnym ruchem rękę, aby jej zadać cios śmiertelny.

Ale ręka opada bezsilnie...

— Ha, ha, ha! — słyszy nagle jej dziki śmiech. — Nie pozbędziesz się mnie nigdy, nigdy.

Nieprzytomny odchyła drzwi i zaczyna pędzić przed siebie...

Nie wie, co czyni. Nie wie, dokąd idzie. Wie tylko, że musi uciec jak najdalej przed nią.

Głuchy odgłos jego kroków rozlega się po ulicy.

Zda mu się, że go ktoś prześladowa, ale nie ma odwagi odwrócić się ze strachu, że się znów spotka z jej wzrokiem.

Pędzi tak naprzód przez głuchą ciszę nocną.

Chwiejne światło latarni zakrywa mu blask księżycy i dziwnie melancholijnie drży w brudnych szybach.

Pędzi naprzód bez celu, bez myśli.

Wielki strach opanował go całego: uciec, uciec przed nią.

Już dawno opuścił ulice przedmieścia i teraz bieży wzdłuż rzeki ciemnej, tajemniczej, oświetlonej jedynie księżycem.

U, u! — słyszy jednostajny plusk wody, powtarzający się monotonnie bez końca.

Czuje on teraz, jak wszystko wkoło wyziewa jeden wielki melancholijny oddech śmierci, zaniku.

U, u! — śpiewają fale w takt zbliżania się śmierci.

Jii, jii, jii — śpiewa wiatr w rytm upływającego czasu.

Gdzieś, daleko za miastem, gdzie głucha cisza panuje, staje wreszcie nieprzytomny.

Drzewa brzegu przeciwnego patrzą się nań tępo swym bezocznym wzrokiem.

Ciemna, tajemnicza płachta pokrywa całe niebo, na której jaśniej tylko księżyc, niemy, głuchy, zapatrzony...

Na wodzie kołysze się w jakiś cichy, melancholijny takt pusta łódka przywiązana do brzegu.

Wielkie jego zamyślenie przerywa odgłos kroków zbliżającego się człowieka.

Podnosi głowę i ogląda się.

Widzi chłopca idącego spiesznie z niespokojną, zmęczoną, pochmurną miną do miasta.

Może po doktora.

Teraz przeszedł.

Gdzieś w dali znika odgłos jego ciężkich kroków.

Stoi nad brzegiem rzeki i wpatruje się w czarną otchłań wody.

U, u — śpiewają fale swą monotonna pieśń.

Trawki u jego nóg kołyszą się w letnim wietrze cichym, rytmicznym ruchem.

I zewsząd płynie melodia czasu, uciekającego w znikomość...

A cicho, cichutko na palcach zbliża się, skrada się śmierć.

Czuje, że teraz za nim stoi, czuje, jak jej wzrok wpija się w jego głowę, czuje, jak jej oddech gorący, a jednak zimny, owiewa jego postać. Czuje, jak go coś sztywnego, zimnego otula...

Nie śmie się obejrzeć.

Ręce w kurczowym ruchu chwytają się krzaku rosnącego przy nim. Oczy tępo wpatrują się w wodę.

Zbliża się coraz bardziej, coraz bardziej...

Teraz nagle krzyknął. Oczy wyłupił, a ręce bardziej wpijają się w wiotkie gałęzie.

Na jego ramiona wskoczyła śmierć i teraz, jak przedtem w bryłę ziemską, wpija swoje palce w jego gardło.

Nie śmie się ruszyć, stoi skamieniały ze strachu.

Nagle rozległ się w głuchej ciszy nocnej jej dziki, triumfujący śmiech.

Obrócił swą głowę, by spojrzeć jej w twarz.

I widzi ją, siedzącą z triumfującą miną na jego ramionach, z twarzą pochyloną nad jego głową.

Jest jeszcze ohydniej wykrzywiona niż dawniej, brutalniejsza, jeszcze pewniejsza swego zwycięstwa.

W jego oczy wstępuje wyraz niezłomnej, rozpacznej energii.

— Tyś mój na wieki! — krzyczy jej śmiech szyderczy, głośny.

I woda, i niebo, i księżyc powtarzają jakby odgłos jej słów: „Tyś jej, Tyś jej!”

Złowieszczy jej śmiech rozlega się wkoło.

Cichym, bolesnym jękiem odpowiadają drzewa, trawy i woda.

Spojrzał na nią zimnym, twardym wzrokiem.

— Więc nigdy nie opuścisz?..

— Nigdy! — odpowiada w rozkosznym uścisku, wpijając palce w jego szyję.

Chwyta się za gardło i chce ją odepchnąć od siebie.

Ale ona jeszcze silniej wpija swe palce w jego ciało.

Zimny jej oddech rozwiewa jego włosy.

Rozpaczny, przeciągły krzyk wyrywa się z jego piersi.

Wtem oczy jego padają na czarną płaszczyznę u jego stóp.

Triumfujący uśmiech rozświetla jego twarz.

— Hi, hi, hi — odpowiada jej ironiczny śmiech.

I znów chwyta go za gardło.

Jej oczy brutalne, szydercze, świecą się tuż, tuż nad jego twarzą.

— Precz! — krzyczy po raz ostatni...

Rozpacznym, gwałtownym ruchem rzuca się do wody.

Głośny i szyderczy śmiech wszechogarniający rozlega się po wodzie, coraz dalej, coraz dalej...

Jeszcze raz podnosi się jego tonące ciało w górę.



— Ha, ha, ha — śmieje się ona — tyś mój, mój! — i sztywne jej palce wpijają się w jego szyję, duszą coraz mocniej, coraz chłodniej.

Utonął.

## BŁAGANIE

O, zejdz, wielkości, o, zejdz!

Spójrz na me oczy ku Tobie zwrócone, spójrz na me oczy błagalne, w których odbija się całe pragnienie ludzkości stęsknionej za Tobą!

I przyjdź!

Ach, otul wszechświat swym płaszczem promiennym, napełnij swym świętym oddechem, by Twoje tchnienie we wszystkim drgało, by wszystko istniało w Tobie.

O, przyjdź!

Schyl się ku ludziom, co w bycie codziennym, w szarzyźnie toną i giną, zbudź w nich tę iskrę, co tli się zaledwie, by stała się ogniem palącym.

Och, zbudź!

Nie błagam o wielkość, co słońcu się równa swym blaskiem świecącym, promiennym, lecz błagam, błagam o cichy, spokojny, o płomień, co grzeje, oświetla.

By zrozumieli, dlaczego kochają to życie w namiętym pragnieniu, by zrozumieli, że gdy je napełniasz, to staje się błogim bez granic.

By ludziom się oczy ślepe rozwarły, by życia pojęli rozkosze, rozkosze bólu, rozkosze radości, gdy w Tobie są odczuwane.

Och, zejź, wielkości, och, zejź!

Och, przyjź, wielkości, ze swoim światłem, och, przyjź w ciemnotę wszechwładną do tych, co w rozpacz w noc czarną wpatrzeni świtu czekają w tęsknocie!

Och, przyjź!

Och, pójź, och, pójź do tamtych, co płaczą, co rwą się w rozpacznych walkach, by w Twoim duchu to jedno wybrali, co Twoja potęga nakaze!

Och, przyjź i pociesz wijących się z bólu, ach, nachyl się nad ich duszą, mów o Twym

państwie bez granic, bez końca, aż ból ich w nim  
cały utonie!

Och, pójdź, och, pójdź do ciasnych i nędz-  
nych, do tych, co, utonawszy w jednej jedynej  
myśli o sobie, zerwali swą łączność z ludzko-  
ścią!

Och, wejdź, wejdź w ich serca, by zrozu-  
miały te bóle, co ziemię targają, by, Twemi dzieć-  
mi się stając, zmienili swą duszę szarą i małą.

Och, zejdz, och, zejdz, och, zejdz!

Patrz, błagam na klęczkach za ludzkość ca-  
łą, co nie zna źródła cierpienia, co męczy się  
w głuchej, martwej szarzyźnie i wołam w roz-  
pacznym wysiłku —

Och, przyjdz, och, przyjdz, och, przyjdz!

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/glod-zycia>

Tekst opracowany na podstawie: Ire Ad Sol, Głód życia, Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa 1904.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Aleksandra Sekuła, Marta Wachowicz, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: Woman who dreams, Tomasz Pro@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-5923-4

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

ELEONORA KALKOWSKA *Głód życia*  
Przeznacz darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.